



pogodnych świąt  
życzy czytelnikom  
zespół „odgłosów”



# ODGŁOSY



ROK XIX NR 52 (994)

26 GRUDNIA 1976 ROKU

CENA 3 ZŁ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

## PRACA

JACEK INDELAK

### JEDEN GRUDNIOWY DZIEŃ

Piąta rano. W porannym mroku wisi mglista i zimna mgła. W wieżowcu u zbiegu ulic Gagarina i Ciołkowskiego zapalają się pierwsze światła. Dziewiąte piętro jeszcze ciemne. W ciemność wdziera się nagle natarczywy alarm. budzika. Brzęczyk milknie po chwili, a w kilka sekund później kuchnia rozbłyska ostrym światłem.

JÓZEF KUBIAK przymyka drzwi od kuchni. Zona — Janina śpi jeszcze. Niech śpi. Zmęczona nabiega się codziennie, naschyla przy krosnach w „Uniontexie”, potem zakupy, obiad, pranie. Niech śpi. Czternastoletnia Ewa też jeszcze ma czas: do szkoły niedaleko. Pięcioletnia Grażyna przekręciła się na bok i śpi dalej.

Przeciera Kubiak czerwone od niedospania oczy. Przygarbia się jeszcze bardziej, wstawiając na ogień czajnik z wodą. Prawda, najpierw ziółka trzeba zaparzyć: żołądek znów dokucza. Pociera wierzchem dłoni ciemny zarost na policzkach. Golić się? A, czorta! Po ciemku wychodzi, po ciemku wróci. Nie na bal przecież idzie, tylko do roboty.

Za dziesięć szósta zajeżdża tramwaj. Był się tylko nie spóźnić, bo autobus ucieknie. Ale nie. Jest tramwaj. Teraz tylko autobusem ulicą Dąbrowskiego do końca i zaraz Łódź. Rozgrzeb na zadupiu! Hen, za „Bistoną”. Wielka budowa. Zakład nr 4 łódzkich elektrociepłowni. Po prostu: EC-IV.

Dalszy ciąg na str. 3



## GOSPODARKA

KRZYSZTOF POGORZELEC

### KTO SIĘ BOI MATY HARI?

Przypadek wyglądający na komiksową opowieść, lecz wyjęty — jak się to powiada — z życia: nie tak znowu daleko położona od Łodzi miejscowość „X”, a w niej sporej wielkości zakład metalowy „Y” wytwarzający między innymi druty. Sprzęt był przestarzały, więc rada w radę — postanowiono zmodernizować cały interes, a wraz z tym oczywiście produkcję. Sięgnięto po import maszyn i urządzeń, zresztą dosyć unikalnych. Zamiar uwińczone pełnym powodzeniem, ruszyła produkcja na agregatach — powiedzmy „Made in Z” i po pewnym czasie okazało się,

że dają się one udoskonalić, co też szybko domowym sposobem zrobiono wykorzystując praktycznie pomysły zakładowych racjonalizatorów. Efekty były duże, głównie w dziedzinie wzrostu produkcji. Mijały miesiące i w zakładach „Y” znalazła się delegacja speców zagranicznej firmy budującej maszyny, które kupiła no i udoskonaliła fabryka „Y”.

Z uznaniem wypowiedzieli się o ulepszeniu, dziwiąc się równocześnie, że sami na to nie wpadli. Od tej wizyty upłynęło nieco czasu; rok — dwa. Wzrastające zapotrzebowanie na wy-

roby produkowane przez fabrykę „Y” znalazło swój wyraz w decyzji rozszerzenia parku maszynowego, też z importu. Nadeszła oferta od znanej już w mieście „X” i w zakładach „Y” firmy. Niemniej wywołała spore zamieszanie: maszyny były udoskonalone o racjonalizatorskie rozwiązania inżynierów z fabryki „Y”, nie chronione jakimś prawem — nikt o tym nie pomyślał, no i cena. Też była odpowiednio wyższa.

Kropka?

Dalszy ciąg na str. 5

★ PIŁKA NOŻNA  
ANDRZEJ MAKOWIECKI  
KWADRANS ŚPIĄCEJ KRÓLEWNY  
STR. 12

★ HISTORIA NAJNOWSZA  
STR. 8  
ADAM CZERSKI  
ATAK NASTĄPIŁ O ŚWICIE

★ ŚWIAT  
LUCJUSZ WŁODKOWSKI  
KONIEC IMPERIUM KRUPPA?  
STR. 7



# LEONID BREŻNIEW SKOŃCZYŁ 70 LAT

## NAJWYŻSZE ODZNACZENIE DLA JUBILATA



W miejscowości Kamienskoje na Ukrainie 19 grudnia 1906 r. urodził się w rosyjskiej rodzinie robotniczej Leonid syn Ilii Breżniewa. Mając lat 15 już zaczął pracować zarobkowo. W 1927 r. Leonid Breżniew skończył Technikum Rolno-Melioracyjne w Kursku. W trzy lata później zostaje wybrany do

Rejonowej Rady Delegatów na Uralu. W roku 1931 Breżniew rozpoczyna studia wyższe w Instytucie Metalurgicznym w swym rodzinnym mieście, które teraz nazywa się Dnieprodzierżińsk i wstępuje do partii. W roku 1938 zostaje skierowany do pracy w aparacie partyjnym. W latach 1939—1941 jest

już sekretarzem Komitetu Obwodowego KPZR w Dnieprodzierżińsku.

Po wybuchu wojny Breżniew zwraca się z prośbą o zwolnienie z dotychczasowej funkcji i wysłanie na front. Pełni służbę na kierowniczych stanowiskach politycznych w dowództwie frontu i armii. Awansuje do stopnia generał-majora i wreszcie jako szef zarządu politycznego jednej z armii, a potem IV Frontu Ukraińskiego w latach 1944—1945 bierze udział w walkach o wyzwolenie południowych ziem Polski oraz Czechosłowacji.

XIX Zjazd KPZR (1952 r.) — pierwszy po wojnie — wybiera Leonida Breżniewa w skład Komitetu Centralnego. Zostaje zastępcą członka prezydium i sekretarzem KC. W roku 1953 powierzono mu stanowisko i zastępcy szefa Głównego Zarządu Politycznego Ministerstwa Obrony w randze generał-lejtnanta. W latach 1960—64 jako przewodniczący Prezydium Rady Najwyższej ZSRR pełni funkcję głowy państwa, a następnie październikowe plenium KC wybiera Breżniewa na I sekretarza KC KPZR. Od XXIII Zjazdu (1966 r.) jest sekretarzem generalnym KC KPZR. W 60 rocznicę urodzin otrzymuje tytuł Bohatera Związku Radzieckiego.

W roku 1967 Leonid Breżniew bierze udział w zwolanej z inicjatywy KPZR konferencji

partii komunistycznych i robotniczych Europy w Karłowych Warach, gdzie przedstawiono program walki o bezpieczeństwo europejskie. W dwa lata później uczestniczy w światowej naradzie partii komunistycznych i robotniczych w Moskwie. Na XXIV Zjeździe KPZR (1971 r.) przedstawia historyczny program pokoju. W roku 1973 po niezwykle ważnych dla sprawy odprężenia międzynarodowego wizytach we Francji, Indiach, RFN i USA otrzymuje Leninowską Nagrodę Pokoju.

W czasie pobytu w Polsce w 1974 r. z okazji obchodów 30-lecia PRL Breżniew zostaje odznaczony Wielką Wstęgą Orderu Virtuti Militari. Na XXV Zjeździe KPZR w bieżącym roku Breżniew ponownie zostaje wybrany sekretarzem generalnym KC KPZR. Otrzymał tytuł marszałka Związku Radzieckiego.

19 grudnia 1976 r. Leonid Breżniew skończył 70 rok życia. Sekretarz generalny KC KPZR, przywódca partii radzieckich komunistów i państwa radzieckiego jest również wybitnym działaczem międzynarodowego ruchu robotniczego i komunistycznego. Na arenie międzynarodowej L. Breżniew zyskał sobie wysoki autorytet i powszechne uznanie za osobisty wkład w walkę o pokój, bezpieczeństwo i dobre stosunki między narodami wszystkich

kontynentów. Uczuciami szczególnej sympatii i wdzięczności darzą sekretarza generalnego KC KPZR narody państw socjalistycznych, widząc w nim człowieka, który odgrywa wyjątkową rolę w rozwijaniu przyjaźni i współpracy bratniej partii i krajów, w umacnianiu międzynarodowej jedności wszystkich sił rewolucyjnych naszych czasów.

W czasie przyjacielskiej wizyty w Moskwie I sekretarz KC PZPR, Edward Gierek wręczył na Kremlu sekretarzowi generalnemu KC KPZR, Leonidowi Breżniewowi Krzyż Wielki Odrodzenia Polski. Odznaczenie to zostało nadane L. Breżniewowi za aktywny udział w wyzwoleniu Polski od faszystowskich okupantów, za wielkie zasługi w rozwoju i umacnianiu przyjaźni, braterstwa i współpracy między Związkiem Radzieckim i Polską, za wybitny wkład w sprawę umacniania pokoju i socjalizmu.

Dziękując za tak wysokie odznaczenie L. Breżniew powiedział m.in.: „To dobrze, bo warzyś, że potrafilimy nie tylko uchronić, ale uczynić jeszcze bardziej wielostronnymi, różnorodnymi i bogatymi, przyjaźni i braterstwo zrodzone w ogniu wojny, w toku walk klasowych o socjalizm. Szeroka, można powiedzieć wszechogarniająca współpraca polsko-radziecka, ściśle trwale więzy,

które zespalają dziś nasze partie i narody — oto czym słusznie szczytą się komunisci obu naszych krajów.

Jako wyraz tego braterstwa przyjmuję dziś wręczone mi odznaczenie i przysięgam, że również w przyszłości służę będę sprawie jego umacniania i rozwoju”.

W 70 rocznicę urodzin sekretarza generalnego KC KPZR odbyła się w Moskwie uroczyste wręczenie Leonidowi Breżniewowi najwyższych przyznanych mu odznaczeń radzieckich: Orderu Lenina i drugiego Medalu Złotej Gwiazdy Bohatera Związku Radzieckiego. Komitet Centralny KPZR, Prezydium Rady Najwyższej ZSRR i rząd radziecki skierowały do dostojnego Jubilata pisma gratulacyjne.

70 rocznica urodzin Leonida Breżniewa odbiła się szerokim echem na całym świecie. Sekretarz generalny KC KPZR otrzymał depesze z gratulacjami i życzeniami od szefów państw i rządów, od organizacji politycznych i społecznych, od setek tysięcy ludzi pracy ze wszystkich kontynentów, a także od ludzi pracy naszego kraju. Prasa światowa, radio i telewizja, komentarze i audycje podkreśliły rolę L. Breżniewa jako bojownika o pokój, jego ogromny autorytet międzynarodowy i wielki osobisty wkład w dzieło umacniania odprężenia.

### POLEMIKI

STANISŁAW MAJCHROWSKI

## NOWA KSIĄŻKA WACŁAWA BILIŃSKIEGO

W dotychczasowym dorobku powieściowym Wacława Bilińskiego opublikowany przez Książkę i Wiedzę ostatnio „Wypadek” jest pozycją wyjątkową. Wszystkie poprzednie powieści: „Szósta bateria” (1953), „Bój” (1954), „Lato po wojnie” (1960), „Nagrody i odznaczenia” (1968), „Los i łut szczęścia” (1971), związane były tematycznie z latami 1944—1947 i problemami Polski i Polaków okresu wojny. W ciągu bez mała dwudziestu lat pisarz powracał stale do jątrzących, trudnych spraw z czasu kształtowania się nowej rzeczywistości politycznej i społecznej w Polsce. Wciąż absorbował go mechanizm wojny i los człowieka wplatanego w jej tryby. Po ogłoszeniu „Nagród i odznaczeń”, w wypowiedzi o swojej twórczości dla „Sztandaru Młodych” (1969, nr 60), użył sformułowania, które miało charakter pisarskiego credo: „pozostanę w zakłętym kręgu przeszłości”. Tymczasem „Wypadek” jest powieścią ściśle współczesną. Czas jej akcji w odniesieniu do czasu historycznego przypada na rok 1972 lub nawet 1973, a więc pokrywa się z czasem pisania utworu. Wojna, jeśli się nawet pojawia, to jako nic nie znaczące echo bądź wyblakłe wspomnienie.

1.

Czy odejście od zdawałoby się obsesyjnie niemal nurtujących Wacława Bilińskiego spraw wojny i losów Polaków z tamtego czasu jest stwierdzeniem pisarskiego wyczerpania tematu? Czy „Wypadek” jest tylko okazjonalną próbą zabrania głosu w konkursie literackim ogłoszonym w związku z 30-leciem PRL? Próba zresztą udaną, bowiem powieść uzyskała trzecią nagrodę. Nietawo już teraz odpowiedzieć na te pytania. Natomiast warto przed omówieniem ostatniej książki przypomnieć wcześniejsze powieści łódzkiego pisarza.

„Szósta bateria” i „Bój” noszą znamiona okresu, w którym powstawały. Tematem obu są zmagania dwóch obozów polityczno-militarnych: postępowych sił nowego ustroju i reakcyjnego podziemia. Walka o wojsko w „Szóstej baterii”, a ściślej o świadomość ludzi mających tworzyć kadry oficerską nowo powstającego Wojska Polskiego kończy się pełnym zwycięstwem obozu rewolucyjnego. Podobnie w „Boju” oddział

wojska na bieszczadzkich rubieżach stacza zwycięską bitwę z silną jednostką UPA wspomaganą przez resztki polskiej bandy Wiktora. Autor, zgodnie z ówczesną konwencją, przyjął czarno-biały schemat przedstawiania postaci, rozdzielania racji, sterowania sympatią narratora i odbiorcy. Równocześnie jednak schemat ów osłabiał, kreując postacie niesablonowe (zdarzają się wyjątki), żywe i barwne. Ustrzegł się również natrętnego dydaktyzmu, redukując komentarz narratora do koniecznego minimum, pozwalając, by świat powieściowy oddziaływał bezpośrednio na czytelnika. Walorem niekwestionowanym zarówno tych, jak i pozostałych powieści żołnierskich Wacława Bilińskiego jest pełna wewnętrzna napięta, dynamiczna i celowa fabuła, konstruowana z dużą znajomością epickiego warsztatu, a także styl — lekki, potoczny, znakomicie dostosowany do przedmiotu opisu. Ich lekturę uatrakcyjnia wiele zabawnych, rodzajowych scen i obrazków, w jakie obfituje żołnierskie podwórko. Nasuwa się przypuszczenie, iż pisarz terminował w

Sienkiewiczowskiej szkole języka i humoru.

Następne powieści z lat sześćdziesiątych stanowią kolejne ogniwa procesu komplikowania się pisarskiej wizji historii. Jednoznaczność sądów, oczywistość ferowanych wyroków ustępuje potrzebie jasnego, wnikliwego spojrzenia na przeszłość, potrzebie oddania sprawiedliwości czasom i ludziorom wielkiego przewrotu. Lato 1945 dla żołnierzy zwycięskiej armii, stacjonujących w małym miasteczku niemieckim, nie jest okresem świętowania triumfu, lecz czasem kwarantanny, przystosowania się do nowych, choć tak oczekiwanych warunków pokoju. Świadomość ludzi określona, najczęściej okaleczona bądź wypaczona prawami wojny nielatowo poddaje się normom obowiązującym w zmienionym świecie. Powstają konflikty i nieporozumienia. Błędne decyzje krzywdzą niewinnych. Stan zawieszenia między wojną a pokojem przynosi, rodzi stesy, wywołuje ludzkie słabości i tęsknoty. W „Losie i łucie szczęścia” biografia głównego bohatera, Andrzeja Rupp, demonstruje w najbardziej oczywisty sposób absurd wojny, niesprawiedliwość losu, rolę przypadku posiadającego w swej nonsensowności oraz grozie cechy fatum. W wątkach wielu innych postaci pojawiają się sprawy zasadnicze dla losu Polaków w owym czasie: problem ziem wschodnich, stosunek do Rosjan, wewnętrzne konflikty polityczne i społeczne, konieczność określenia własnych postaw wobec nowego systemu ustrojowego. Wacław Biliński nie retuszuje rzeczywistości. Stara się wierne odtwarzać wypadki oraz perypetie ludzi, znane mu w dużej mierze z autopsji.

We wcześniejszych „Nagrodach i odznaczeniach” podjął pisarz temat z reguły pomijany w literaturze pięknej dotyczącej początków istnienia ludowego

państwa, dzieje formowania się polityczno-militarnej opozycji i rozpalenia wojny domowej jesienią 1944 roku.

2.

Odmienne niż w innych powieściach Wacława Bilińskiego, fabuła „Wypadku” jest uboga i wyraża pretekstowy charakter. Delegacja reortu budownictwa z dyrektorem Baryckim na czele zawiera z włoskim partnerem korzystną umowę licencyjną. W czasie powrotu samochodem z „targowego miasta” do Warszawy następuje katastrofa. Ginie jeden z członków polskiej ekipy, a pozostałe osoby doznają cięższych bądź lżejszych obrażeń. Nieszczęśliwy wypadek pełni w kompozycji powieści podwójną funkcję. Umożliwiła wprowadzenie do utworu całej galerii postaci: krewnych, przyjaciół, znajomych, osób z personelu szpitalnego, pracowników ministerstwa, a więc postaci, które czy to ze względu na osobistych czy też zawodowych zostają tym wypadkiem „uaktywizowane”, a których obecność w innej sytuacji byłaby fabularnie nie usprawiedliwiona. Ponadto tragiczne wydarzenie, którego konsekwencje będą wpływać na dalsze losy nie tylko rannych, lecz także ludzi w jakikolwiek sposób z nimi związanych, pobudza do refleksji, wspomnień, staje się okazją do rozrachunku z własnym i cudzym życiem. Z perspektywy swistego punktu doświadczenia, jakim jest wypadek, bilansu zysków i strat dokonują w mniejszym lub większym zakresie osoby pośrednio dotknięte katastrofą. Wcześniej dla bezpośredniej prezentacji świadomości Baryckiego i jego zastępcy, inżyniera Plichockiego, posłużyła zakończona sukcesem transakcja z cudzoziemcami.

Istotnym rysem współczesności jest jej zmienność, płynność modeli i wzorów kulturowych, upodobań, aspiracji, zachowań, ciągle przewartosciowywanie idei. Ze sprawy tej uczynił Wacław Biliński jeden z naczelných problemów „Wypadku”, fundując na nim powieściowy konflikt pokoleń. Zarychta, Barycki, Jachimowicz — to generacja ojców, schodzących ze sceny z większym czy mniejszym bagażem win, pomylek, rozczarowań, ale i suk-

cesów. Ich życie było ciężkie, lecz wytężone drogi działań stosunkowo proste i oczywiste. Oni budowali od podstaw, zakładali fundamenty, torowali przejęcia. Zarychcie zawsze wydawało się, że zwalczający polską nędzę można tylko zapominając o potrzebach codziennych. Że niezbędny jest rozpaczyliwy wysiłek. Asceza wyrzeczeń. Nikt nam nie da za darmo. Jesteśmy zdani na własne siły. Trzeba zaciśnąć pasa. Tak naprawdę myślał i w to wierzył! (s. 107). Tę swoją prawdę powiadał Zarychta całym życiem. Obecnie, w chwili obrachunku, nie jest pewny słuszności własnych przekonań, czuje się zagubiony. Nie znajduje sensownej repliki na słowa córki:

„Zgadnam się z mamą, że ty już od dawna, wybacz, że mówię ci tak wprost, rozechodziłeś się z nowymi czasami. Jesteś strasznie uparty. Może dlatego? I na pewno nie rozumiesz naszej epoki: rewolucji techniczno-naukowej i wysiłku konsumpcji. Tego sprzężenia zwrotnego. Jedno warunkuje drugie. Ty tego nie rozumiesz. Współczesny głód, ta pasja konsumpcji nie pasuje do twojej wizji społeczeństwa przyszłości, tej wizji, jaką tworzyłeś sobie jeszcze w latach wielkiego kryzysu, przed wojną. Swoje apogeum przeżyłeś w połowie lat pięćdziesiątych. I tam zostałeś” (s. 107—108).

Czy rzeczywiście nowe pokolenie jest pokoleniem konsumpcyjnym? Czy synowie są lepsi, czy gorsi od ojców? Jacy są w ogóle? Powieść nie daje odpowiedzi. Jest to jej słabość. A może autor świadomie zrezygnował z oszczędności, przynajmniej tym do niewiedzy czy też dając do zrozumienia, że aby poznać i ocenić, należy poczeekać, by pokolenie wypełniło swe role? Dużo pytań, ale też wydaje się, iż cała powieść jest takim generalnym pytaniem. Bardziej właśnie konstatacją, „protokołem rzeczywistości” niż jej diagnozą i wykładnią. Przyglądając się jednak uważnie, łatwo spostrzec, że sympatią w powieści cieszą się przedstawiciele „starych”, ich postawy i racje znajdują pełniejszy wyraz, są wytłumaczalne i zrozumiałe. Młodzi widzieli są najczęściej oczami ojców, a ponieważ są niezrozumiali, obcy, inni, wzbudzają

niechęć lub obawę. W najlepszym czy najgorszym wypadku tworzy się mur obojętności. Nie wiemy, dlaczego pasierb Zarychty wybrał „wolność”, dlaczego syn kierowcy Kaczorowskiego uczęszczał w zbiorowym gwałcie. Plichocki w gruncie rzeczy jest egocentrykiem, syn Baryckiego zbuntowanym niegroźnie młodziekiem, zasklepionym w nauce i awersji do ojca, który go przytłacza swą osobowością i stanowiskiem, jest lekarzem Jachimowicz jest typem niemiłym, narcystycznym, a młoda pracownica ministerstwa Sobiesiak — figurą komediową, wręcz groteskową w swej urzędniczej akurakności i bezduszości. Można mieć uzasadnione wątpliwości, czy autor nie tłumaczył nie usiłując włączyć się w motywację czynów i sposób myślenia młodych, natomiast obdarzając ich szczerze cechami negatywnymi, nie wyraził tym samym osądu, krzywdzącego przecież, bowiem dostatecznie nie umotywowanego, opartego na emocjonalnych przesłankach. Wprawdzie Zarychta zastanawiając się nad przyczynami niemożności porozumienia z młodymi ujmuje konflikt pokoleń metaforycznie jako różnicę spojrzeń „na bochenek chleba”, lecz jest to jedyna lojalna próba wyjaśnienia stanu rzeczy, próba zresztą zbyt ogólnikowa i w swej istocie nienowa.

Wacław Biliński sięgnął w „Wypadku” po temat najtrudniejszy, gdyż najbardziej czasowo aktualny. Wypełnił powieść po brzegi problemami zasadniczymi i mało ważnymi, starając się przetożyć biegnącą współczesność na indywidualne ludzkie losy. Ale dać epickie świadectwo czasom i sprawom, do których brak dystansu, nie jest łatwo. Toteż w powieści, mimo wysiłków autora, by podbudować psychologicznie postaci, znajdują się miejsca rażące zbytnią ilustracyjnością i weryzmem. Radykalniejsza selekcja problematyki korzystnie wpłynęłaby na kształt artystyczny książki. Szczegółowa egzemplifikacja współczesnej codzienności, nawet ze zredukowanym komentarzem, bliższa jest bowiem reportażowi. Wydaje się, iż twórcze predyspozycje Wacława Bilińskiego pełniej realizują się wtedy, gdy pisarz sięga po tematykę wojenną i żołnierską, czego dowodem mogą być istniejące już powieści.

### ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREIDLICH, WIESŁAW JAŻDZYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), GRAZYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji). Stałe współpracują: ANDRZEJ BLAJER, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMINSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPANSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC.

# JEDEN GRUDNIOWY DZIEŃ



Fot. Zbigniew W. Nowak

Dalszy ciąg ze str. 1

2. Błoto, cholierne błoto! Jeden z kumpi, zapytany o najtrudniejszy dzień na budowie, odpowiedział: — Ten, w którym wpadłem po pas w błoto i walonki mi przepadły! Błoto było od początku. W kwietniu siedemdziesiątego czwartego, kiedy Kubiaka przeniesi tu z EC-II, błoto było chyba jeszcze większe. W tym błocie brygadziści Sylwester Rogaliński z sześcioma ludźmi kładli pierwsze drogi dojazdowe i wewnętrzne. Sylwester był tu chyba od początku.

Zresztą, kiedy brygadziści Kubiak tu nastali, to też właściwie był nadal początek. Niwelacja terenu jeszcze trwała. Rzeźby silniki buldożerów, buksowały kola ciężarówek, ludzie gubili gumki w błocie. Grzęzawisko. W tym grzęzawisku taplało się wtedy z pół setki ludzi. Może trochę więcej.

Jeszcze w dołku stała wtedy ostatnia stara chalupa. Opuszczona, rozwichrutana, z powybijanymi szybami. Zanim ją jednak, jak poprzednie, rozwalili spychacz — służyła im wszystkim dobrze pierwsza szantnia. Na górze wyły jeszcze buldożery, a Józef Kubiak ze swoimi cieślami wziął się za stawianie baru. Tego — od strony ulicy Zakładowej. Tego — w którym gnieździł się dziś dyrekcja budowy głównego wykonawcy.

Razem z Kubiakiem przeszli z EC-II najdługości — Kazimierz Kowalski, Wiesław Adamczewski, Józef Wrąbel. Połączyli się z brygadą Antoniego Olimbrowskiego. Stary fachman, mistrz rzemiosła, wychował i nauczył niejednego. Kubiak też zdobywał szlify w jego brygadzie. Stawiali barak, przemierzając codziennie kilometry błota. Przystawali czasem tam, gdzie komin miał stanąć i stanął później. Teren był już wyrównany. A przystawali tak, jakby gdzieś tam jeszcze, między zalaniem ziemi, między kamieniami dojrzeć mogli wystające kości. Dziwnie im jakoś było: parę miesięcy temu żyłki koparek wygrzebywały tu właśnie ludzkie piszczele. Resztki po starym ewangelickim cmentarzu tkwiły jeszcze w ziemi. Przyjeżdżał wtedy często jakiś ksiądz. Podwinąwszy sutannę brnął przez błoto do ryjących ziemię robotników. Ksiądz — kupiec. Ponoć za każdą wygrzebaną z błota czaszkę stówę dawał. Ale to było wcześniej. A później był ten barak. A po nim — drugi barak na górze. Tam, gdzie przedtem rósł dziesięćletni zagajnik. Później już były fundamenty pod komin.

Robili u mistrza Edwarda Pawlaka, pod kierownikiem pierwszego od-

cinika — Kazimierzem Bakiem. Od początku na pierwszym odcinku. Cały czas. Ciesle! Śmieją się niekiedy: tacy dziwni faccy, z siekierkami, piłami, młotkami, a tu — wielka technika, megawaty, gigakalorie, precyzja i rozmach. Ciesle i energetyka.

— Zawsze na pierwszym odcinku. Może nie tacy ważni, są ważniejsi przecież. Chociażby chłopcy z „Elektromontażu”. Ale jednak niezbędni. Po nas dopiero można budować, montować, uruchamiać — pociesza się Kubiak.

3. Nie to, żeby żałował, że jest cieślą. Nie to, żeby mu było żal, że wokół stają się wielkie sprawy, a on tak ciągle, z miarką biega i tarcę pasuje. Nie to, sam przecież taki zawód wybrał i nie żałuje. Dziadek i wuj w drzewie robili, chociaż ojciec ziemi orał. Ziemi tej w podsiadkach Prusinowicach niewiele było. Najmłodszy z sześciorga rodzeństwa fach chciał zdobyć. Do Szadku poszedł. Do prywatnego stolarza, który siedemnastoletniego chłopaka szybko zawodu nauczył, lecz usamodzielnic się nie dał. Pewnego dnia pokłócili się. Józef chciał już sam robić, akordowo, a nie — jak dotąd — na spółkę. Facet się postawił. Postawił się też Józef: rzucił warsztat w diabły. Zagarnął kuzyna — we dwóch rażniej. Pojechali do Łodzi. Do EC-II, przy której działał „Betonstal”. Bez problemów dostali robotę. Przez cztery lata dojeżdżał do Łodzi. Ciężarówką z brezentową budą. Szkołę się, kursy zaliczał, gromadził papierki. Niepostrzeżenie przybył mu najważniejszy: akt ślubu.

4. — Cześć, cześć, serwus! — jak zazwyczaj jest w szatni pierwszy. Zdejmuje cywilne ciuchy, wieszka je porządnie, zzuwa półbuty: — Psia-krew, wszędzie to błoto! — Zakłada zimny, nieprzyjemny drelch, sztywne i wilgotne wewnątrz gumowce.

Chłopcy schodzą się jeden po drugim. Najwcześniejszym razem ojciec z synem. Kowalscy — Kazimierz i Grzegorz. Ze starej kadry — Wiesława Adamczewski i Józef Wrąbel, i młodzież — Andrzej Sottysiak, Zbigniew Ratajczyk, Piotr Wawrzyniak. Piotrek — beniaminek. Najmłodszy — grudniowy osiemnastolatek. Jeszcze się nie rozkręcił, jeszcze nie żartują, nie kombinują, komu tym razem i jakiego figla spłatać. Senność jeszcze trzyma. Ziąb. Wilgoć. I to cholierne błoto, w które trzeba było w rozmachem wkroczyć!

— No, chłopaki! — Kubiak nie musi mówić więcej. Wychodzą jeden za drugim w rzedniący mrok i ściecie przymrozkiem błoto.

5. Na budowie już ruch. Ruch tu zresztą — od wielu miesięcy — bez przerwy. Dzień i noc. Tysiąc trzysta ludzi ścigał się na budowę. Ośmiuset byłoby dość, ale przez cały czas, tak zaś trudno robotę zorganizować. Tłok potężny. Ludzi za dużo — ludzi za mało. Mobilizacja na całym froncie: harmonogram zagrożony. Trzeba gonąć plan. Trzeba ludziom dać ciepło w terminie. Kocioł jest. Błok — jest. Turbina musi ruszyć jak najprędzej.

Właśnie: turbina! Chłopaki z „Elektromontażu” naciskają. Pilno im. Brygada Kubiaka musi skończyć pomost pod turbiną. — Bez naszego pomostu — zamysła się któryś nad piłą. — Bez naszego pomostu... Ha, ha, wyobrażacie sobie monterów na drabinach?

6. Śniadanie. Kubiak odwija kanapki. Uśmiecha się. Może wspomina słoiczek ze smalcem?... Zaraz, kiedy to było? Nie tak długo po ślubie. Z EC-II na budowę „Elty”. Potem Warszawa — hangar lotniczy na Okęcu. I znów Łódź — rozruch „Anilany”. Ślub w sześćdziesiątym pierwszym. Bez mieszkania. Kubiak — kątem u swej siostry. Zona — na sublokatorce u ciotki. A tu rodzi się Ewa. Z dzieckiem? — nie ma mowy! Poszukiwania po całym mieście. Wreszcie znajomemu serce zmiękło. Przygarnął całą trójkę. Ciasno było. Łóżko wstawili, ale na wózek dziecienny miejsca już nie starczyło.

Zaczęło się wystawanie w kolejkach do kwaterunku. Na wystawanie sam Kubiak dużo czasu nie miał. Półtora tysiąca ledwie wyciągał jako brygadziści. Tyle w godzinach. Dorabiał trzeba było. Wieczorami, nocami. Budowało się niewiele, więc — rozładowując wagony, stróżując na budowie. Jednej niedzieli portiera zastępował. Z duszą na ramieniu pobiegł nocą, żeby kolejkę w przedmium zająć. Potem po żonę poleciał, a sam z powrotem — w strachu — do stróżówki. Co się go najadł, to się najadł, ale w końcu poszczęściło. Zona wyplakała M-2.

Niedługo po tym w firmie redukcję prowadzili. Akurat przed świętami. Poszedł do kasy, a tu — wymówienie. Pożyczkę ścigali: piętnaście złotych zostało. Płakać się chciało, jak wracał. Święta za pasem. Pożędzi następnego dnia, wziął delegację do Patnowa: elektrownię budować. Z żoną się żegnał. Ta mu dwieście złotych wręczyła: — Dla nas zostało tyle samo! — A po chwili słoiczek smalcu dodała: — No, masz. Tylko co najmniej dwa tygodnie w domu się nie pokazuj, bo nie będą miała cię czym nakarmić. — Smutne święta mieli oboje.

7. Uśmiecha się Kubiak. Święta za pasem. Zonie, córkom upominki gwiazdkowe trzeba kupić. Tylko, cholera, kiedy? Od świtu robotali. Wydużony dzień pracy. Sami sobie regulują. Fajrant koło piątej. Ciemno już, człowiek zmordowany. Zresztą, zanim z tego zadupia do miasta wróci, sklepy już zamykają. Tak, ale przynajmniej fora na prezenty jest. Duża fema. Teraz to piątkę, a nawet słoidek w brygadzie wyciągnąć można. Młodszy — trochę mniej, bo i stawki nieco niższe, a i do roboty nie pała się, jak starzy. Nie dziwota, chcą chłopaki mieć coś z życia. Zabawę się, do kina pójść, na randkę. Józef Wrąbel to ma los. Do szkoły chodzi po robocie. Ale zawiał się chłopak, ambityny. Ani się obejrzał, kiedy technikiem zostanie. Jędrkowi Sottysiakowi roku podobno tylko brakuje. I on chce skończyć, ale czeka na Józka, bo przecież sam wie, że taki „student” to dla brygady uszczerbek.

8. Młode głowy do nauki zdalniejsze. I do nauki lepsze warunki. Sam Kubiak pracował już dwadzieścia jeden lat. Gruszek w popiele nie zasypiał: kwalifikacje ma i to wysokie. A szkoła? Kiedy był czas szkoły, za pieniądze gonił musiał, żeby koniec z końcem związać, o mieszkaniu walczyć, o lepsze życie dla rodziny. Dziś już nie ma takiej potrzeby. Poprawiło się, że hej! Można by poluzować, ale co zrobić, do roboty się nawykło. A poza tym, a najważniejsze — ciepło ludziom dać trzeba.

9. Łada dzień musi komin zadymić. Komin. Kładli więc fundamenty pod komin. Potem przyszła kolej na rozdzielnicę na górze. A potem — szmat roboty, cały zespół gospodarki wodą. Zmniejszała. Robota od podstaw. Przeszło rok czasu im tu zszedł. Najpierw trzeba było rozebrać stare magazyny bawelny, a potem przerobić kilka wagonów drzewa na rusztowania, pomosty, oszalowania.

Ludzi przybywało. Setkami. Przybywało sprzętu i maszyn. Plac budowy zapełniał się kolegami z konińskiego „Energobloku”, warszawskiego „Energomontażu”, katowickiej „Elektrobudowy” i czternastu innych przedsiębiorstw. Przyjeżdżał w to łódzkie błoto budowniczości Ostrołęki, Patnowa, Kozienic, „Dolnej Odry”. Przyjeżdżali i odjeżdżali, zabierani nagle do pilniejszych zadań w Hucie „Katowice” i innych wielkich budowach. Przez wiele miesięcy ruch był na budowie, wielka też była rotacja w dwóch blokach mieszkalnych na Widzewie i Dąbrowie — oddanych do dyspozycji budowlanych przez władze miasta, a przerobionych na hotele robotnicze. W końcu hotelowy ruch ustał a na budowie zaczął się tak długo oczekiwany wielki tłok. Tysiąc trzystu ludzi zjednoczyło swoje wysiłki aby jak najszybciej elektrociepłownia z błota wyrosła.

A ciepło — bez zmian. Wciąż na pierwszym odcinku. W tym roku brygadę Kubiaka rzucili na główny budynek. Komendę nad nią objął po Edwardzie Pawlaku mistrz Franciszek Nasarzewski.

10. Ledwie skończyli śniadanie, a tu wpada jak huragan mistrz Nasarzewski: — Panie Kubiak! Dziś w nocy betonujemy fundament, ludzie na noc przychodzą. Murarzy postawiam do domu, żeby przygotowali się, bo jak zacząć, non-stop będą lać beton. Zbieraj pan ludzi i do roboty. Do wieczora musicie skończyć.

— Panie majster, ale... — Nie ma żadnych „ale”. Przecież ludzie nie mogą czekać z założonymi rękami, aż wy skończycie! To musi być zrobione. Ten fundament może całą robotę rozłożyć: Każda godzina się liczy. Harmonogram, panie Kubiak!

— No tak, panie majster, ale tu jest roboty na całe dwa dni.

— Obiecałem, że zrobicie. Ja w was wierzę! No, jak?

— Postaramy się!

I już nie ma mistrza. Już brnie dalej przez błoto rozdzielacz zadania innym brygadom.

— Ochcesz k... — klnie któryś. — Oj, Józef. Jak już kto sobie powie, to byś się zabił, żeby tylko zrobić!

Kubiak ręce rozkłada i uśmiecha się tylko. On wie to, co i oni wiedzą: próżne gadanie, trza do roboty się brać. A po cichu medytuje: — Jasne, Kubiak obiecał mistrzowi, bo mistrz obiecał kierownikowi, bo kierownik obiecał dyrektorowi, a dyrektor komuś tam jeszcze, bo ktoś obiecał ludziom, że ciepło pójdzie. Cóż więc Kubiak ma robić? Modlić się, żeby chłopcy i tym razem mu nie nawali!

Człapka się więc pod fundament. Cholera, jasna sprawa, ktoś tu coś spartolił. Żwiru zabrakło, to piasku nasypali. Grunt nie wytrzymał, obunasił się może. Trudno, trzeba kombinować tak, żeby chłopaki mogli chudy beton lać. Łazi Kubiak po blocie z Kowalskim. Całowki w rękach. Mierzą i wzdłuż, i w szer, i w wzdłuż. Dziewięć metrów na pięć na dwa siedemdziesiąt. Roboty od cholery. Szczegóły trzeba — przedyskutować, wszystko dokładnie rozmiarzyć, a tymczasem reszta bierze się za swoją robotę.

Materiał na kupie nie leży. Materiał trzeba zorganizować. Sottysiak i Ratajczyk najlepsi do tego. — Nie ma? Jak musi, to się wydusi! — Potrzeba przycięć to i drugiemu spód ręki trzeba podobać. Jak Kuba Bogu, w grzeszności nie ma co się bawić. Robota jest robota!

Materiał splywa. Biorą się za niego Adamczewski z Wrąblem. Obał ostrzy w robocie. Dopinguja młodzież — ci też nie chcą być gorsi. Jeszcze nie są zmęczeni, jeszcze pokrywają: — Na Józka Kubiaka stara dziś z wałkiem zacekła. Lepiej by do knajpy wzięciem poszedł, bo i tak mu się wałkiem dostanie!

Mija godzina za godziną w miarowym pobrząku pił. Krótkich uderzeniach młotków. Powoli wylania się przyszy kształt fundamentu. Zmierzcha się, potem gęsty mrok zapada. Pot na twarzach zlewa się z opadającą mgłą. Coraz mniej mówią. Coraz częściej gest zastępuje dyspozycję. Powoli słabnie tempo. Coraz częściej rozlegnie się fałszywy brzęk narzędzia, które wypadło z dłoni. Na finiszu przyspieszają. Dobiega dwunasta godzina nieprzerwanej pracy.

JACEK INDELAK

## Z DZIEJÓW DRUKARSTWA

Badania nad historią drukarstwa, nad jego rolą w kulturze narodowej, niedgdyś tak zaniedbane, rozwinęły się intensywnie w ostatnich latach. Wprawdzie wciąż jeszcze brak nam opracowania dziejów bodaj tylko wszystkich najważniejszych oficyn wydawniczych, zaś luki naszej historycznej wiedzy są wciąż ogromne wypełniają się one jednak stopniowo rzeczową treścią dzięki żmudnym badaniom historyków z różnych ośrodków naukowych. Niemal każda praca z historii drukarstwa przynosi niezmiernie cenne informacje, wartościowe nie tylko dla dziejów literatury czy nauki, ale kultury polskiej w ogóle.

Tak jest i tym razem, w przypadku opublikowanej przez Uniwersytet Wrocławski (1976) książki Anny Aleksiewicz „Drukarstwo w Rzeczypospolitej Krakowskiej i Galicji Zachodniej w latach 1815 — 1860” (PWN). Autorka oparła swą pracę o żmudną kwerendę źródłową: sam spis wykorzystanych przez nią źródeł rękopiśmiennych, najróżniejszych akt, korespondencji itd., liczy 4 i pół strony drobnego druku! Przedstawiła w swej pracy rozwój drukarstwa w Krakowie i na prowincji w interesującym ją okresie czasu, tak jak zwykło to czynić, w porządku chronologicznym. Dala to jej podstawę dla niezmiernie interesującej „charakterystyki produkcji zakładów typograficznych”, podług poszczególnych firm, a wreszcie — rzecz to najciekawsza dla historyka kultury — uogólnień, które znalazły się w ostatnim, czwartym rozdziale dziełka, zatytułowanym „Produkcja oficyn w świetle statystyki”.

W latach 1815—1860 w Krakowie opublikowano aż 9,5 proc. całości druków, wydanych na obszarze dawnej Rzeczypospolitej. Kiedy dodamy do tego produkcję prowincjonalnych ośrodków Galicji Zachodniej, procent ten urośnie do 12,1. Mimo wahań, uwarunkowanych zarówno okolicznościami politycznymi, jak ekonomicznymi, udział Krakowa i okolic w polskiej produkcji wydawniczej wykazywał tendencję wzrostową: w 1859 r. osiągnął aż 25,9 proc. wszystkich książek, wydrukowanych na terenie dawnego państwa polskiego. Dynamika produkcji drukarskiej odzwierciedla — jak podkreśla A. Aleksiewicz — „zarówno ograniczenia polityczne, jak i wolnościowe prądy”; henżura nie zawsze oddziaływała hamująco na rozwój druków, niekiedy — jak w 1833 r. — przyczyniła się do tego, że były to... publikacje pod względem drukarskim anonimowe, bez podania firmy, która je wyprodukowała. Na ogół jednak represje władz zaborczych hamowały rozwój drukarstwa, zaś prądy wolnościowe — jak w dobie Wiosny Ludów — go pobudzają, skoro „spowodowały kilkakrotny wzrost produkcji, przy czym większość... stanowią druki ulotne o objętości kilku stron i bez oznaczonego typografa”.

Równie interesująca, jak ustalenia dotyczące dynamiki produkcji drukarskiej, przedstawiają się wyniki badań treści publikowanych książek. Jest dla nas pewnym zaskoczeniem, że przez cały interesujący autorke okres czasu, w krakowskich drukarniach na pierwszym miejscu wśród „asortymentu” znajdowała się... literatura naukowa, dopiero na dalszych literaturą piękną, piśmiennictwo religijne i inne. Beletrystyka była jednocześnie podstawą produkcji typografów prowincjonalnych: zajmowała ponad 80 proc. druków publikowanych przez oficyny w Bochni, Wadowicach czy Jaśle. Przeważała literatura naukowa, równieznacznie miejsce w statystyce publikacyjnego dorobku wszystkich ośrodków razem: publikacje naukowe wynoszą bowiem 33,6 proc., religijne 25,8 proc., aktualne 19,3 proc., zaś literatura piękna zaledwie 8,4 proc. całości.

Czyżby więc ów Kraków, na który tylekroć — właśnie w interesujących autorke latach — narzekano, jako na siedlisko marazmu, zacofania, klerykalizmu i bigoterii, ten Kraków, w którym miano jakoby w ogóle mało interesować się jakąkolwiek naukową produkcją, przedstawiał się inaczej, niż nieraz sądzono? Z książki A. Aleksiewicz wynika, że był przeżym ośrodkiem drukarskim, o znaczeniu i oddziaływaniu ogólnokrajowym, o ambitnych osiągnięciach. Opinie podróźników i pamiętnikarzy, na podstawie których zbyt łatwo ferujemy nasze sądy, weryfikowane być muszą przez analityczne badania w rodzaju tych, których rezultaty przedstawiła nam A. Aleksiewicz.

LEKTOR

**Jerzy Wilmański**  
antykwariat  
PRZY  
PIOTRKOWSKIEJ

Antykwariat przy Piotrkowskiej. Właśnie tu, bo ta ulica symbolizuje całą przeszłość i teraźniejszość miasta. Można sobie doskonale wyobrazić Łódź bez rzeki Łódki, bez Piotrkowskiej wyobrazić jej sobie nie sposób. Nie jest to efektowny paradoks, bowiem Łódź w Łodzi dawno już nie ma, płynię gdzieś pod miastem, a może nie płynię; w każdym razie stała się dziś prehistorią, a ściślej wybetonowanym podziemnym kanałem.

A Piotrkowska jest i będzie zawsze.

Więc i ten antykwariat, na który składają się zebrane tu szpargały, notatki, wycinki z gazet i wspomnień — też musi się nazywać „Antykwariatem przy Piotrkowskiej”.

Zapraszam więc do antykwariatu, gdzie wszystko może być niespodzianką i zaskoczeniem, gdzie nie ma wyrównanej pod sznurkiem chronologii, a przeszłość miasta — nie koturnowa, lecz codzienna — spogląda na nas z pożółkłych stron gazet, notatek i wspomnień.

**DZIEŃ POWSZEDNI**

„Dziennik Łódzki” był pismem żywym. Ani upływ czasu, ani archaiczność języka i pokrętność stylu nie zamazują nam plastyczności obrazu XIX-wiecznego miasta, jaki rysuje się na łamach gazety Henryka Elzenberga. Dzień powszedni Łodzi, zawarty w tych krótkich notatkach, ukazuje nam w sposób niemal filmowy tamte ulice, problemy, ludzi i wydarzenia z pierwszych miesięcy 1884 roku.

**WYDARZENIA**

Pan Biernacki, naczelnik tutejszego urzędu pocztowego, przeniesiony został do Kalisza gdzie taka sama obejmuje posadę, lecz zaś miejsce zamieszkania — pocztownik poczty kaliskiej.

Niefortunny leździec. W tych dniach przedchodemie ulicy Piotrkowskiej byli świadkami komedii sceny. Jakis leździec używał przejażdżki na dzielnym koniu. Naraz rumak — zaskoczony widokiem fary, skoczył w bok, a niefortunny leździec spadając pozostawił w strzemionach... ogromne myśliwskie buty. Koń pomknął ewentualnie dalej a leździec w skarpetkach przebrnąwszy kałużę błota wsiadł w doróżkę i prawdopodobnie bez wypadku już dojechał do domu.

Ostrożnie z syfonami. W mieszkaniu jednego z tutejszych lekarzy wydarzył się dzisiejszej nocy wypadek orzeźwiający. Jeżeli eksplozja nazwać można rozpadnięcie syfonu, wskutek nadmiernej dawki kwasu węglowego. Na szczęście dikt podczas tej katastrofy nie znajdował się w pokoju, gdzie ów wybuch nastąpił: skończyło się zatem szczęśliwie, bo tylko na stłuczeniu dwóch szkl i wywołaniu małego przestrachu.

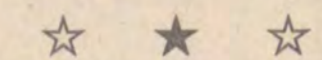
**KONTRASTY**

Teatr Victoria — Towarzystwo Artystów Dramatycznych pod dyrekcją Józefa Pachniewskiego w niedzielę 6 stycznia 1884 Wielki Bal Maskowy

Maskarada rozpocznie Galopada Komiczna odtajniona przez całe towarzystwo zakładu Edmunda Enbich. Ceny miejsc: łoża na 6 osób po rs. 5,20. Łoża na 4 miejsca po rs. 4,20. Wejście na sale rs. 1,65. Amfiteatr kop. 40. Galeria kop. 20. Początek o godzinie 10-tej.



Koleda dla biednych. Z inicjatyw i staraniem pani Ronthaler, żony tutejszego pastora, urządzona została w dniu 3 bm koleda dla biednych, na którą mnóstwo osób słygnęło z dobroczynnością przysłać swe dary. Były to: no największe części przedmioty najpierwszej potrawy — jak odzież, bielizna itp. owoce szlachetnej myśli i znanie pracowności i bywatelskiej tutejszych. Do stołów zastawionych w jednej z sal Towarzystwa Kredytowego gdzie wszystkie te przedmioty umieszczono przystąpiła z chwilą otwarcia spora, bo 258 wynosząca gromadka ubogich by rozbrać między sobą te koleadowe podarki i błogosławie szlachetna ofiarność swoich możniejszych braci.



Socjalny Skład Herbaty i Cukru oraz Handel Win i Delikatosew L. Janiszewskiego poleca się wszelkemu publicznosci



Śmierć ze zmarznienia. Dnia 2 stycznia rb. mieszkaniac tutejszy niemiecki Ullman znalazłszy został martwy na drodze do wsi Janów. Śmierć nastąpiła prawdopodobnie ze zmarznienia.



W sferach rządowych powstał projekt zakładania domów roboczych w których pomieszczeni być mają żebracy zdrowi, trzy razy przytrzymano na zbieractwie.

**KRONIKA WYPAJKÓW**

Dnia 2 stycznia zameldowano kradzież u Izraela Rosenblata z dobraniem kluczy do zamka. Skradziono 1 miedziane rury, futro, chomuta — razem 255 rubli. Sprawców nie wykryto.

Wczorajszą noc, tj. z 11 na 12 stycznia policja zatrzymała włóczęgów sze bez zalecia i nie malających legitymacji 16 osób, które odesłano do miejsca zamieszkania.

Dnia 16 stycznia, na rogu ulicy Przejazd i Piotrkowskiej, skradziono konie wraz z brzcza, które woźnica pozostawił bez dozoru.

Dnia 24 stycznia zatrzymano niezabawiona rozumie kobiecie, która o-

kazala się mieszkanka Rzgowa, do kad też odesłana została.

W dniu 3 lutego około 7 godz. wieczorem w miejskim parku W. B. za wypadkowym wystrzałem z rewolweru zadal ciężka rana A.B. w deke niedziowa.

Niedrzyjemny wypadek spotkał wczoraj pana N. Wracając wieczorem do domu zaatakowanym został na ulicy Południowej przez dwóch podejrzanie wywiadańców włóczęgów, z żądaniem, by udzielił im wsparcia. Pan N. ustepując natarczywej prośbie, wydobyl portmonetkę lecz w momencie oka leden z owych ichnościw uderzył w twarz pana N. podczas gdy drugi wyrwał woreczek z pieniędźmi, w którym znajdowało się 20 rubli, po czym napastnicy zniknili w ciemnościach.

**WEKSEL**

Któż dziś wie, co to jest weksel? Kiedyś wiedziało o tym każde dziecko. Przypomnę więc. Otóż był to dokument zobowiązujący wystawcę lub wskazaną przez niego osobę do bezwarunkowego zapłacenia w oznaczonym czasie wymienionej na wekslu sumy pieniężnej. Weksel pełnił funkcję obiegową — jako papier wartościowy przechodził z rąk do rąk umożliwiając w ten sposób zarwanie szeregu nie związanych nawet ze sobą transakcji.

Weksel pojawił się bardzo dawno, bo w XII wieku, a największe zastosowanie znalazł właśnie w okresie kapitalizmu jako instrument kredytu towarowego. Dziś funkcję weksla, jako środka płatniczego pełni czek. Zresztą w ogóle w gospodarce socjalistycznej rola weksla znacznie zmalała. Ma on zastosowanie głównie w handlu zagranicznym i na co dzień nie spotyka się wśród zwykłych obywateli wekslowych operacji. Poza — oczywiście — kredytem PKO na zakupy ratalne, bo to także jest weksel.

Dawnie weksle fałszowano, kradziono, szantażowano weksłami i opowiadano dowcipy na ich temat. Nic więc dziwnego, że i w „Dzienniku Łódzkim” tego tematu na łamach nie zabrakło. Oto próbki.

Ciekawa sprawa fałszowania weksli będzie niedługo rozstraszona. Jeden z mniejszych kupców tutejszych odmówił w tych dniach płatania weksłu, twierdząc, że jego podpis jest fałszowany. Rzeczywiście też na pierwszy rzut oka charakter pisma wywalał się zupełnie odmiennym od zwykłych podpisów. Szczegółowe atoli badania wykazały, że kupiec stopniowo zmieniał z rozmówcą pismo, tak iż ostatecznie udało się je zupełnie przeistoczyć. Oszustwa tego rodzaju dopuszczał się on już od kilku tygodni.

Lange, tym ostatnim dostawcy się w ręce weksle moje w ilości sztuk jedenastu in blanco — na stemplach wekslowych 500-rublowych. Do weksli tych waluta wliczona nie była, lecz wymuszono ją ode mnie w trudnych okolicznościach na pokrewie starych weksli w sumie trzy razy mniejszej przez tychże panów Pastor i Lange posiadanych. Tymczasem zmiankowane panowie, tak mnie dochozli do wiadomości, weksle o których mowa, dali jako część szacunku nabytego przez nich do niejakiego p. Juliusza Szulca. Ostrzeżam niniejszym teozb n. Szulca i wszystkich którym by nowicze weksle moje ofiarowywano że takowe żadnej wartości nie mają i że odpowiadnie krąki prawne — o rozpoznanie celem wydotania od m. Pastora i Lange weksli moich nieprawnie zabranych.

Jakub Zimmerman Łódź 12 stycznia 1884

Wskutek dobrowolnego w dniu dzisiejszym porozumienia się z panami oskarżonymi Pastorem i Henrykiem Lange, ostrzeżenie moje u mieszczono w numerach 7 i 8 „Dziennika Łódzkiego” niniejszym odwołuje.

Jakub Zimmerman Łódź 13 stycznia 1884

**JESZCZE O ELZENBERGU**

Wielokrotnie przywoływana przeze mnie praca Zygmunta Gostkowskiego na temat „Dziennika Łódzkiego” dostatecznie jasno określa rolę Henryka Elzenberga w stworzeniu pierwszej polskiej gazety codziennej w Łodzi. A jednak wciąż panują na ten temat opinie dalekie od prawdy.

Cytowany już tutaj tygodnik warszawski „Złoty Róg” pisze w numerze z dnia 13 października 1912 roku:

„Dnia 1 października br. w Łodzi zakończył życie Zdzisław Kulakowski, którego nazwisko wplotło się do dziejów pracy kulturalnej w Łodzi. Wychowaniec Szkoły Głównej, z zawodu geometra, na tym polu pracował głównie do końca życia. Między innymi jego dziełem były pierwsze pomiary miasta, opracowanie planu i wydanie go. Prócz tego, Kulakowskiego marzeniem było stworzyć pismo polskie w Łodzi i to w tych czasach, kiedy istotnie takie dzieło mogło istnieć tylko w krainie marzeń. O pismo polskie w Łodzi, jak w ogóle na prowincji, było niezmiernie trudno. Toteż na owe czasy było wielką zasługą Kulakowskiego ułatwienie zdobycia koncesji na „Dziennik Łódzki” — pierwsze pismo polskie codzienne w Łodzi. Kulakowski popierał to pismo materialnie w chwili jego założenia, a następnie w miarę możliwości zasiliał je piórem”.

Obok notatki widzicie zdjęcie zaopatrzone podpisem: „s.p. Zdzisław Kulakowski — założyciel pierwszego pisma w Łodzi”.

Oczywiście Kulakowski był człowiekiem dla Łodzi bardzo zasłużonym i to nie ulega wątpliwości. Przypisanie mu jednak zasług i starań Elzenberga wzięło się zapewne stąd, że Elzenberg programowo niejako pozostawał w cieniu — nie był nigdy formalnie redaktorem pisma ani wydawcą, nie istniał dla władz... Wynikało to z ówczesnych warunków istnienia „Dziennika”. Zarówno współcześni jak i późniejsi autorzy piszący na temat pierwszego pisma w Łodzi, nie rozumiejący owej sytuacji, kreowali Kulakowskiego na męża opatrnościowego gazety.

Jerzy Urbankiewicz w swojej bardzo zresztą interesującej książce „Muzy przy krosnach” (Łódź, 1970) powtórzył te opinie, pisząc:

„Wydawca Stefan Kossuth był inżynierem — technikiem, redaktor naczelny Zdzisław Kulakowski to geometra — matematyk, funkcje redaktora odpowiedzialnego pełnił aptekarz, mgr farmacji Knichowiecki. Pierwszego felietonistę miał „Dziennik” w osobie orawnika, adw. Henryka Elzenberga...”

I dalej pisze Urbankiewicz:

„Gazetę udało się założyć dzięki temu m.in., że Kulakowski miał stosunki w Petersburgu, dotarł więc dokąd trzeba, dał ile trzeba i uzyskał odpowiednie zezwolenie. Pierwszy kapitał wyniósł 275 rubli zebranych od redaktorów”.

Otóż Kulakowski nigdy nie był redaktorem naczelnym, bo takiego w „Dzienniku” nie było. Był natomiast do roku 1886 (czyli mniej więcej dwa lata) redaktorem odpowiedzialnym. Po nim funkcję tę objął na krótko adwokat Antoni Chomentowski, a dopiero potem, od sierpnia 1889 został nim bałucki aptekarz, Bolesław Knichowiecki.

Byli to jednak ludzie pełniący swe funkcje wyłącznie nominalnie — bez wpływu na kierunek pisma, który i tak nadawał Henryk Elzenberg. Warto też dodać, że wśród ludzi, którzy złożyli się na ów pierwszy kapitał gazety brak jest właśnie Kulakowskiego.

Według ustaleń Zygmunta Gostkowskiego, który historii „Dziennika” poświęcił rzetelne studium, pozwolenie na pismo otrzymano dzięki poparciu Kamila Janiszewskiego. I to nazwisko jest na liście składkowej pierwszego funduszu gazety. Jakże konsekwentnie miał łódzki restaurator w Petersburgu — nie wiadomo, ale i rzekomych koneksji Kulakowskiego nikt jasno nie określił.

Nieprawdliwe jest więc stwierdzenie w „Złotym Rogu”, że Kulakowski „popierał pismo materialnie w chwili jego założenia”.

W lutym 1884 roku, czyli właśnie w chwili założenia pisma, Henryk Elzenberg tak pisze do Elizy Orzeszkowej: „Co do wypłacalności jesteśmy zabezpieczeni na rok, nawet na dwa (...) dziś tylko dodam, że ten fakt jest wyłączną zasługą dzielnego i szlachetnego Kossutha”. O Kulakowskim ani słowa.

Henryk Elzenberg zmarł w roku 1899, w wieku pięćdziesięciu lat. Na wiadomość o jego śmierci Eliza Orzeszkowa napisała: „Śmierć p. Henryka zasmuciła mnie niewypowiedzianie. Nie wydywiałam go już od dawna, lecz żył zawsze w pamięci mojej”.

Wraz ze śmiercią twórcy „Dziennika Łódzkiego” nie skończyły się dzieje tej rodziny. Otóż Henryk Elzenberg miał syna, który urodził się w Łodzi w 1893 roku. Na imię dano mu Juliusz, pisał pod pseudonimem Andrzej Świt, używał nazwiska — Wirski. Nie wiadomo, czy mamy tu do czynienia z kolejnym pseudonimem czy z zmianą nazwiska. To drugie jest raczej mało prawdopodobne. Elzenbergowie byli jedną z tych zasymilowanych rodzin żydowskich, które — podobnie jak Wieniawscy czy Słonimscy — wiele wnieśli do polskiej kultury. Inny syn Elzenberga, także Henryk, był wybitnym filozofem, profesorem Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, a potem Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu.

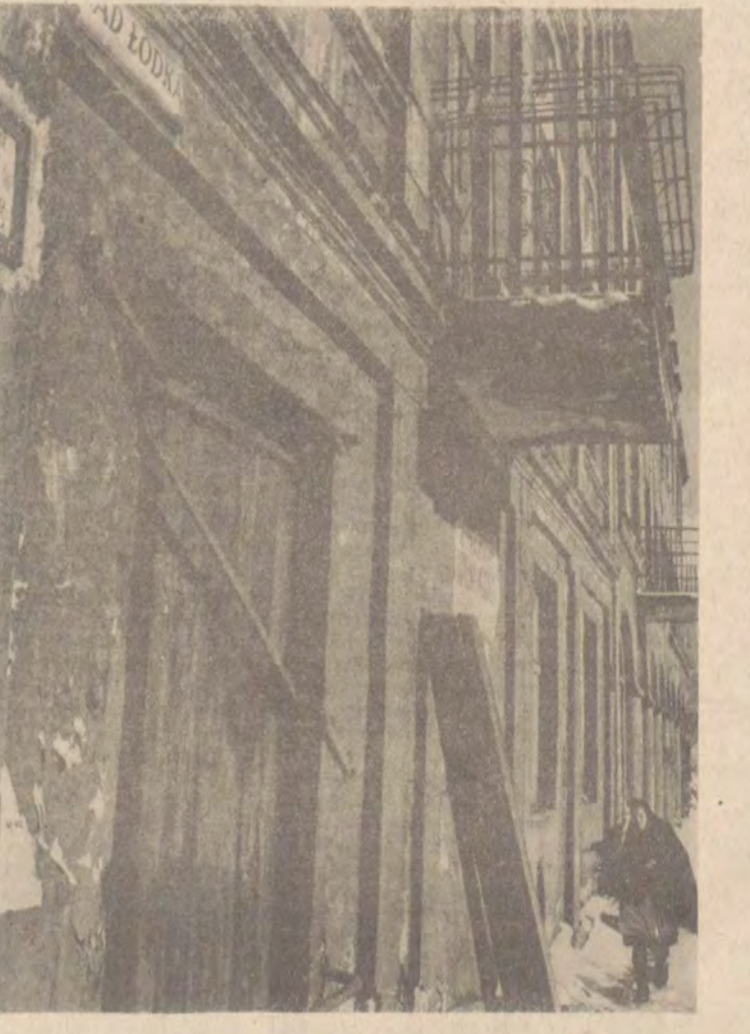
Juliusz Wirski, choć łodziżan z urodzenia, większą część życia spędził w Warszawie. Studiował polonistykę i anglistykę; pisał sztuki teatralne, wiersze i powieści. W antologii warszawskiej felietonistyki znalazło się dla Wirskiego miejsce wśród dwustu stołecznych felietonistów.

Choć przez wiele lat współpracował Juliusz Wirski z prawniczym przećię „Kurierem Warszawskim”, postępowe tradycje rodzinne sprawiły, że jeszcze w roku 1943 znalazł się w szeregach Polskiej Partii Robotniczej. Organizował tajne Rady Narodowe i sam był członkiem Rady Narodowej województwa warszawskiego. Ale już przed wojną pisywał do socjalistycznego „Robotnika” i zaangażowany był w jednolitefrontową działalność antyfaszystowską. Zmarł w roku 1960, po wojnie nie odegrał już znaczącej roli ani jako działacz ani jako publicysta.

Przypomnieć go jednak warto i dlatego, że był synem Henryka Elzenberga i choćby dlatego, że nawet w jego warszawskiej felietonistyce odnajdujemy akcenty z rodzinnego miasta. Pisze Wirski w felietonie „Była fabryka — są rudery” w lutym 1939 roku:

„Kiedy się tak jeździ tramwajem po własnym mieście, gdzie w niektórych dzielnicach zna się każdy dom i każdy narożnik ulicy, wtedy jak ów zbankrutowany fabrykant łódzki w Reymontowskiej powieści, zaczyna się kochać własne miasto właśnie w jego powstawaniu, w jego nieustannej przebudowie i budowie, w jego zawziętej walce o przestrzeń, słońce i powietrze?”

(Fragment większej całości)



Fot. W. Parys

BOGDA MADEJ

## Zabili go i uciekł

W jednej z zakładowych bibliotek — jak usłyszałam to któregoś dnia w radio — przeprowadzono ankietę na temat czytelnictwa. Z ankiety tej wynikało, że około 2 procent czytelników interesuje się literaturą kryminalną i sensacyjną. Taki wynik ankiety nadzwyczaj ucieszył autora audycji, gdyż miał według niego świadczyć o wysokim wyrobieniu czytelników owej zakładowej biblioteki, którzy rozumieją, że literatura kryminalna i sensacyjna jest literaturą gorzkiego gatunku i nie poświęcają jej wiele czasu i uwagi.

Gdyby jednakże ów autor zadał sobie trochę trudu i porównał wysokość nakładów tego typu książek, wydawanych w różnych seriach, ze „srebrnym kluczkiem”, „Jamnikiem”, „konikiem morskim”, „pistoletem” i poza seriami, a także ostatnio przez „KAW” i gdyby przekałał się, jak szybko znikają one z księgarskich ład i kłosek „RUCH”, to być może inaczej by spojrzął na owe około 2 procent.

Literatura kryminalna i sensacyjna ma u nas po prostu „złą prasę”, albo inaczej — nie cieszy się dobrą opinią. Mało kto gotów jest przyznać się publicznie, że czyta kryminały, a jeśli już zdoła się na odwagę, to przyznaje to obywateli zastrzeżeni, że czyni to jedynie dla relaksu. Również piszący powieści kryminalne i sensacyjne dokładnie ukrywają się pod różnymi pseudonimami, aby tylko nie padło na nich podejrzenie, że zajmują się tym „podłym” gatunkiem literatury.

Jerzy Putrament — jeden z nielicznych — miał niedawno odwagę powiedzieć w dyskusji opublikowanej na łamach „Literatury”:

— „... jestem namiętnym czytelnikiem tej literatury. To jedyna literatura, którą czytuję z przyjemnością, bez poczucia obowiązku”.

Jego zdaniem proza współczesna zabrzała w ślepe zaulki, toteż, gdyby był wykładawcą teorii literatury, to studentów i roku polittechniki uczyłby „budowy dzieła literackiego właśnie na literaturze kryminalnej”.

Być może, jeśli chodzi o budowę dzieła literackiego, nasza literatura kryminalna mogłaby temu służyć, jeśli natomiast chodzi o sposób konstruowania intrzyg kryminalnej, wielu autorów robi to w sposób dość nieudolny. Nie może być dobrą książką kryminalną taka powieść, w której przestępca już od kilkunastu stron staje się znany czytelnikowi, a biedni milicjanci wraz z autorem siłą się ciagle jeszcze nad rozwiązaniem zagadki wymyślonej zresztą nieudolnie przez tegoż autora.

W powieściach tych występują łatwi do rozszyfrowania przestępcy i odgrywający rolę aniołów milicjanci. Przy czym aż dziw bierze, że tyłu milicjantów nie umie poradzić sobie z przestępcą, którego już dawno zdemaskował czytelnik. A te nasze przestępstwa. Prymitywne, głupie, drobne, jakieś kradzieże w magazynach GS, budylnarskie machlojki. Czasem jeszcze kryminalna intrzyga trzyma się nogami ziemi, jeśli autor umiejscowił jej genezę w dalekiej przeszłości, w czasach wolnych konfliktów. Bardzo trafnie to podparzył Jerzy Siewierski w tomie znakomych pastiszy „Pięć razy morderstwo”.

Powieść kryminalna i sensacyjna staje się często podstawa adaptacji filmowej — jako że film od dawna żeruje na literaturze — i oto pojawiają się na ekranach układowi i bardzo grzeczni milicjanci, którzy zwyciężają w kofcu wcale nie nadzwyczaj mądrego i przebiegłego przestępcę.

Dalszy ciąg na str. 11

5

## kto się boi Maty Hari?

No więc co — powtórzmy — nie ma już pola do popisu współczesna Mata Hari?

Ejże! Tam, gdzie istnieje konkurencja, rywalizacja, szczególnie w warunkach tzw. wolnej gry sił, tam i wszystkie chwyt — w pogoni za zyskiem — są stosowane. Bo — wracając na chwilę jeszcze do spraw interesujących przemysł lekki — to prawda, że przygotowane modele można kupić, ale także warto, dobrze je mieć wcześniej, no i bez wydatków.

## SPECJALIŚCI

Nie stanowi to zresztą nawet jakiejś większej tajemnicy, a tygodnik amerykański „Business Week” uznał za całkiem naturalne ujawnienie nazw formalnych przedsiębiorstw zajmujących się niczym innym, jak tylko zbieraniem rozmaitych technicznych oraz ekonomicznych informacji — czytaj: szpiegostwem gospodarczo-przemysłowym.

Interesuje ich dosłownie wszystko. Vincent B. Harris — wiceprezes Standard Pressed Steel Co stwierdził:

— Najważniejszą informacją dla nas jest zasadnicza strategia konkurenta. Obejmuje to rynek, plan rozbudowy, sprawy finansowe. Chcemy wiedzieć, jakie są stosunki pracy u konkurenta, jak wygląda jego sytuacja finansowa, kredytowa, organizacyjna, jakie ma rynki zbytu, możliwości techniczne i badawcze. Wszystko to bowiem wpływa bądź może wpłynąć na nasze decyzje. Jest to totalna batalia businessu.

Niemal każda większa firma kapitalistyczna posiada tzw. komórki analizy handlowej, ale równocześnie istnieje niepisane prawo — obowiązek, iż każdy z jej przedstawicieli musi dostarczać interesujące „centrum” firmy dane. Ujawnił to Frank T. Corry w zeznaniach w związku z procesem antytrustowym prowadzonym przeciw koncernowi IBM;

„Texas Instruments Inc” zatrudnia liczny personel obsługujący specjalną kartotekę danych, które obejmują zjawiska interesujące ten koncern;

W wielu przedsiębiorstwach kapitalistycznych istnieją pracownicy oficjalnie nazywani „szefami wywiadu wobec konkurencji”, przy czym to ostatnie pojęcie jest niezmiernie rozciągliwe.

„Business Week” stwierdza: „Podobnie jak rządowe operacje wywiadowe, analizy towarzyszą często są niemal tajne. Przedstawiciel firmy elektronicznej ujawnił stosowanie praktyki wyszukiwania pracowników poczty i kolporterów katalogów — mających duże doświadczenie, a tym samym orientację o stosunku tego, co przechodzi przez ich ręce — celem ustalenia, jakie wyroby i plany promocyjne ma konkurent w zanadru. Drukarze i litografowie są źródłem informacji o przygotowywanych wyrobach i reklamie. Rozebrawanie wyrobu konkurenta, aby zobaczyć, jak jest on zrobiony, jest tak częste, że „zakulisowa inżynieria” niemal zdobyła status odrębnego zawodu”.

Chyba teraz nieco inaczej można popatrzyć na „doświadczenie” zakładu „Y” w miejscowości „X”. A przy okazji może się kogoś zapytać: czy to rzeczywiście śmieszne bać się współczesnej nam Maty Hari?

KRZYSZTOF POGORZELEC



## Dalszy ciąg ze str. 1

To raczej prolog, wprowadzenie w przemysłne „gry”, których celem jest tylko jedno: wygrać w tym wyścigu, wykorzystając wszystko co można, każdego kto się daje.

## WIĘCEJ I SZYBCIEJ

Nie, bynajmniej, ta pogoń za wiedzą, odkryciami i wynalazkami, które są przecież funkcją pracy laboratoriorów czy instytutów naukowo-badawczych nie jest wyłącznym znakiem teraźniejszości. To tylko kwestia tempa, rozmiarów zjawiska tak charakterystycznego właśnie dla „dzisiaj”.

Bo: podobno za czasów Newtona liczba uczonych w świecie ulegała podwojeniu co 12—15 lat. Jakże inaczej jest obecnie. Oblicza się, że żyjący dzisiaj ludzie, którzy zajmują się nauką stanowią trzy czwarte ogólnej liczby uczonych jacy żyli na przestrzeni całej dotychczasowej historii ludzkości. Ta ekspansja nauki ma swoje odbicie w rozwoju wielu dziedzin, które opierają się, bądź nawet rodzą w wyniku tej naukowej ofensywy. Dotyczy to np. przemysłu elektrycznego, mechanicznego, elektronicznego, no i oczywiście chemii. Średnio biorąc, w takim dziale przemysłu, jak elektronika, co 8—10 lat liczba pracowników naukowych ulega podwojeniu.

Oczywiście, te procesy wywołują, a nawet można powiedzieć, że są to konsekwencje jeszcze innego zjawiska, bardziej złożonego aniżeli to, iż zasoby książek w naszych bibliotekach ulegają obecnie co 12 lat podwojeniu. Zalew papieru. Ale chodzi o coś znacznie poważniejszego, co w efekcie prowadzi do polaryzacji krajów w światowej rywalizacji o prymat w nauce.

Krótko — chodzi o koszty, ergo — pieniądze. Liczą się nie tylko wydatki na „utrzymanie” owej armii naukowców, lecz przede wszystkim wzrost, i to bardzo gwałtowny kosztów badań naukowych prowadzonych we współczesnym świecie. Jeżeli przyjmiemy na odpowiedzialność statystyków, że liczba pracowników naukowych podwaja się obecnie co 10—12 lat, to koszt badań prowadzonych w laboratoriach i pracowniach wzrasta o około 15 proc., ale ROCZNIE. W tym miejscu należy dodać, że nakłady na badania naukowe bynajmniej nie mają tendencji do stabilizacji, lecz odwrotnie. Jeśli — jak już też obliczono — tempo badań naukowych, ich rozwój utrzyma się na dotychczasowym poziomie, a dynamika eksperymentu nie ulegnie przynajmniej zahamowaniu, to już pod koniec obecnego stulecia koszty badań naukowych prowadzonych tylko przez ośrodki badawcze przemysłu wzrosną w porównaniu z rokiem 1968 aż 64 razy! A przecież mówimy o stałym wzroście rozmiarów badań. Kto może, a raczej kto już dziś bez uszczerbienia, „bochenka” idącego do podziału między społeczeństwo może sobie na taką eskalację kosztów pozwolić?

## REKIN NIE WYBIERA

„Drain Brain”. Te dwa angielskie słowa znaczą mniej więcej tyle samo, co „drenaż mózgu”.

Jak to wygląda w praktyce? Już dawno obserwuje się w niektórych wysoko rozwiniętych krajach dosyć interesujące zjawisko. Otóż względnie biorąc wydają one mniej na rozwój nauki, a przede wszystkim na kształcenie młodych kadr naukowców, a mimo wszystko, te właśnie kraje wzbogacają się szybciej i czerpią z bogactwo m.in. z rozwoju techniki, nauki i to w większym stopniu aniżeli inne państwa. Dotyczy to np. Japonii, USA czy RFN.

Atak idzie we wszystkie strony. Na poparcie tego przytoczmy garść faktów zawartych w oficjalnych publikacjach agend ONZ np. UNESCO. Stwierdza się w nich m.in.:

„Wiele krajów Europy jest dziś wyraźnie zanepokojonych zjawiskiem drenażu mózgu, wyrażającym się nadmierną emigracją ludzi wykształconych, a przede wszystkim młodych specjalistów z różnych dziedzin wiedzy”.

I dalej: „Oslabia to znacznie możliwości rozwoju omw krajów, z których idzie ta emigracja, a nadto obciąża ona te państwa kosztami kształcenia, które są „spożywane” przez innych”. Z pożytkiem właśnie dla tych, którzy prowadzą operację „Drain Brain”. Najpierw dwa przykłady tej pirackiej polityki prowadzonej w tej dziedzinie głównie przez USA.

Anglia. W roku 1961 utraciła ona na rzecz USA 198 doktorantów nauk ścisłych, ale w pięć lat później straty wynosiły już 415 specjalistów.

Szwajcaria. Znowu z raportu ONZ: „W roku 1967 wyjechało z tego kraju tylu młodych ludzi, którzy mogliby z czasem zostać profesorami, że w ich ojczyźnie nie zostało dosyć, by utworzyć nowe pokolenie wykładowców”.

Rekin nie wybiera. Atakuje gdzie się da, zawsze godząc dotkliwie, zawsze boleśnie, ze szkodą dla ofiary. Bo kształcenie to nie tylko długa droga, ale i koszty, poważne koszty. Po co obciążać samego siebie? Lepszy jest napad na słabszego.

Jesteśmy skłonni mniej się przejmować dosyć — mimo wszystko — zasobnymi w kadrę naukową takimi państwami jak Szwajcaria czy Anglia. Tym bardziej że rekin uderza głównie w najstarszych penetrując kraje znajdujące się dopiero na drodze do postępu i rozwoju. Weźmy tylko przykładowo Czarny Łąd. Nowa akademia lekarska utworzona w Dahomeju wykształciła do tej pory 70 lekarzy, ale tylko 16 spośród nich pozostało w kraju, a 54 czyli dokładnie 80 proc. emigrowało do Francji. Ten proces dotyczy także innych krajów Czarnego Łądu, takich jak Kongo, Algieria, Etiopia, Nigeria, ale bynajmniej wcale nie jest przywilejem Afryki. Uniwersytet Nowej Ziemi przygotowuje się właśnie do utworzenia wydziału lekarskiego. I od razu wiadomo, że co najmniej połowa, a nawet dwie trzecie absolwentów tego wydziału po zdobyciu dyplomów wyemigruje i podatnicy Nowej Ziemi, która jest najbliższym okolicznym Kanady zapłacą za to, by wzobogacić inne rejony Ameryki Północnej, a przede wszystkim USA. Tak jest także na kontynencie południowo-amerykańskim, bo rekin poluje wszędzie.

Nietrudno przewidzieć, jakie skutki polityczne i społeczne wywołuje ten proces pogłębiający tylko dysproporcje między bogactwem i biedą przy czym na tej ostatniej żeruje bogactwo.

## OCZY I USZY

Jest taka zabawa, którą niedgdyś z wielkim upodobaniem uprawiało się podczas harscerskich zbiorów, gier i zabaw. Z grubsza biorąc wygląda ona tak: powiedzmy na stół wyklada się ileś tam, w każdym razie dużo, rozmaitych przedmiotów, przez moment biorący udział w grze przyglądają się im, następnie — już „na ciemno” wyliszczą z pamięci ile i co tam było. Zwycięza ten, który „zakodował” w swojej głowie najwięcej przedmiotów, najdokładniej opisał ich wygląd, rozmieszczenie.

Ten przykład jest doskonały dla zapoznania PT Czytelników z pewną formą działania, z którą przeciętny obywatel naszego kraju skłonny jest — z różnych niekiedy racji i powodów — włożyć między bajki lub scenariusze telewizyjnych seriali a la

Kobra. No bo niby — z czym i do kogo?

Najpierw jeszcze jeden taki sobie obrazek, zresztą — łatwy do znalezienia w pamięci, szczególnie u bywalców wszelkiego rodzaju wystaw i targów, a któż z nas, nie był — powiedzmy — w Poznaniu, na MTP. „Odwrocić więc „film”, a łatwo odnajdziecie grupy, pojedynczych skromnie ubranych panów, tak z wyglądu „na oko” turystów i maniaków fotografowania. W ich rękę kamera — małe cacko, zminiaturyzowane do granic możliwości, ale tak samo niezawodne. Starają się być wszędzie, a już szczególnie tam, gdzie pokazuje się jakieś techniczne rewelacje, przedstawia się prognozy, słowem — prezentuje się to co dopiero będzie, lub już jest, ale lepsze. Nie oszczędzają trudów, taśm filmowych, szukają okazji do fachowej rozmowy. Są zresztą do niej znakomicie przygotowani, to fachowcy wysokiej klasy, specjaliści umiejący oddzielić mękę od plew. I co jeszcze — w charakterze ciekawostki a propos: czy wiecie, że jedną z najbardziej strzeżonych przez firmy samochodowe tajemnic, jest przygotowywana „linia” wozów mających się ukazać w następnym salonie, a także tendencja lansowana na rynku, a kryjąca się choćby w pytaniu: duży, średni czy mały samochód? Model „Fiatu 127”, który był jak wiadomo tzw. samochodem roku, przygotowywano w najgłębszej tajemnicy strzeżonej przez cały zastęp wytrwałych detektywów, stosowano kamuflaż, a na tor prób wyjeżdżał samochód o zupełnie innej sylwetce aniżeli ta, do której już przywykliśmy i w Polsce...

Przejdźmy jednak na grunt znacznie nam bliższy, choćby do sfery działania przemysłu lekkiego tak szczególnie wrażliwego na tak zmieniające się kwestie jak choćby moda, używanie do produkcji surowca, techniki wytwarzania, co razem biorąc ma ogromny — jak chyba nietrudno się domyślić — wpływ na zbytych wyrobów, ich cenę, konkurencyjność. Właśnie — choćby moda.

W roku 1958 w Stanach Zjednoczonych wytoczony został proces amerykańskiemu wydawcy Fryderykowi Miltonowi, a stroną pozwywającą było 4 największych francuskich krawców kreujących tzw. paryską modę. Podczas tego procesu Miltonowi dowiedziano, że na paryskie pokazy zapowiadające przyszłe odzieżowe nowości wysyłał specjalnie uzdolnionych rysowników, którzy mieli te szczególne umiejętności, że z pamięci potrafili odwzorować najbardziej „wiodące” dla nadchodzącego sezonu modele. Milton wydawał w oparciu o te rysunki specjalny katalog, za ogromne sumy tylko... wypożyczony producentom konfekcji wytwarzanej już na skalę przemysłową. W ten sposób przemysł amerykański zarzucał rynki wyrobami a la Paryż nawet grubo wcześniej, od autorów tych kreacji — Francuzów. O konkurencji nie mogło być nawet mowy. Oczywiście wielu kreatorów mody znaleźli na takie „przypadki” receptę, choćby stosując tzw. prewencyjny miesiąc, w którym to środki masowego przekazu otrzymują tylko b. nieliczne modele, uprzednio akceptowane do publikacji, przesłane — chciałoby się powiedzieć. Najsłynniejsze firmy takie jak np. Chanel czy Courreges bronią się w jeszcze inny sposób odpowiadając np. na przechwycony plagiata — masową jego produkcją. Wiadomo też, że istnieje coś co by można było nazwać trustem, ale niezmiernie ekskluzywnym, kreatorów mody, tam się ją „wysmaża”, no i za bardzo słone sumy sprzedaje do rozpowszechnienia przez największych producentów.

Więc co — koniec ze szpiegostwem przemysłowym?

Po raz pierwszy rzecz nazwalibyśmy po imieniu, ale — było, nie było, musiało i to być powiedziane.

## LITERATURA

— Ja nie... Kacia postąpiła krok naprzód.  
— Ale dlaczego? — zdziwił się, ruszając za nią. Odwrócił się do mnie.  
— To nie umówiliśmy się?  
Zanim zdążyłem odpowiedzieć, wtrąciła się Kacia.  
— Nie umówiliśmy się i nie mamy powodu się umawiać, bo ja idę teraz do domu.  
Agent spoglądał to na nią, to na mnie, jakby szukał pomocy.  
Zwróciłem się do blondynki niepewnie.  
— Naprawdę nie może pani wstać?  
Odwróciła się i popatrzyła mi w twarz jasnymi, stanowczymi oczyma.  
— Naprawdę nie mogę. Dzisiaj nie. Innym razem być może, dzisiaj nie. Proszę, niech mnie pan odprowadzi, mieszkam bardzo blisko.  
Machinalnie wruszyłem ramionami i zobaczyłem, że mój towarzysz uczynił to samo. Blondynka ujęła mnie pod rękę i pociągnęła w kierunku długiej ulicy, którą wjechaliśmy do miasta. Obejrząwszy się zobaczyłem, że czarnowłosa dziewczyna

ci pierwszego, a potem róbce, co chcecie. — Znowu zbliżył się do dziewczyny:  
— Chodźmy, mała.  
Weszliśmy na korytarz. Był pusty. Agent czujnie nastawił ucha ku schodom i przyłożył palec do ust.  
— Teraz cicho.  
Ruszył pierwszy trzymając dziewczynę za łokieć, ja szedłem za nim. Widziałem przed sobą pełne biodra dziewczyny, rozkołysane, niespokojne pod tkaniną płaszcza. Szła bez słowa i bez szmeru tam, gdzie on ją prowadził. U schodów przystanął, gestem kazał i nam się zatrzymać. Chwilę nasłuchiwał, po czym odwrócił się i szepnął:  
— Na palcach.  
Wysunął się naprzód i na ugiętych kolanach, jak i w zwolnionym skoku, pierwszy doszedł do naszego pokoju. Klucz trzymał już w ręce, cicho otworzył drzwi, jak spiskowiec machnął ku nam głową i wszedł. Weszliśmy za nim w ciemność: nie zapalił światła.  
Zrobił to, dopiero kiedy wszyscy byliśmy w pokoju, kiedy po omacku

nacmągnąłem koca. Patrzyłem w rozjaśniony chwilałmi półmrok, na środku pokoju, gdzie teraz nic się nie ruszało; ale cała moja podniecona uwaga skupiała się na łóżku po drugiej stronie okna. Tam szeleściła pościel, cicho i jednostajnie, potem przerywanie, skrzyplała siatka, trzeszczały deski, oddech głośniał. Po dźwiękach odgadywałem, co on robi z ciałem dziewczyny, i hamowałem swoje, by wytrzymało oczekiwanie. Ani przez chwilę nie byłem zazdrośny o agenta, jakbym wiedział o czymś z góry, nie miałem mu nawet za złe, że pierwszy dorwał się do dziewczyny. Pamiętałem tylko jego obietnicę: „Nie jestem już taki młody... potem róbce, co chcecie”, rozumiejąc jej naturalne uzasadnienie, wolny od podejrzeń, ale też bez uczucia wdzięczności, uważając, że jest to coś w pełni rzeczywistego i do przyjęcia dla wszystkich. Jeszcze mniej rozmyślałem o pobudkach dziewczyny — właściwie w ogóle nie myślałem o niej jako o kimś, kto posiada wolę i możliwość decyzji, lecz myślałem tylko o jej ciele, o tych zarysach uchwyconych w pół-

ciemnościach, ponad krawędzią łóżka, jak ślepy, spojeni prądem naszego połączenia, zatonełszy w sobie, niby dwie rzeki u ujścia. Jeszcze dziś pamiętam cudowną łatwość, z jaką od razu objąłem dziewczynę całą, kibić, ramiona, biodra, i — rękami, dłońmi, skórą — nigdzie nie trafilem na żadną nierówność, opór jej ciała, jakbym poruszał się we śnie lub na jawie obejmował własne ciało, i w tej samej chwili nie zauważyłem nawet jak i kiedy, objęły mnie jej ręce, jej ciepłe ciało. Pamiętam, jak moje wargi, głodne i pewne, spotkały jej wargi, jakbym przynosił do ust ją-dro, i jak w tych wargach, w tym cieple utonąłem z bezgłównym krzykiem momentalnie odnalezionej zgodności. Pamiętam tę zgodność, poczucie wzajemności, której doznaliśmy owej nocy i której wciąż od nowa szukaliśmy i wciąż od nowa radowaliśmy się urokiem jej odnalezienia! Była to jakby gra przemienności: gra ciepła i zimna, ciemności i światła, bólu i szczęścia, gra, którą jakby wymyślił pierwszy, i wciąż jeszcze ją wymyślali, zachwyceni jej bla-

przedłużeniu tamtego światła, leżała ziemia, miasto, domy, ulice przechodzące w drogi. Tam były wszystkie miejsca, w których mieszkaliśmy lub w których byłem, miejsca, w których podczas wojny drżałem, triumfowałem, zadawałem sobie gorzkie pytania, tam gdzie było też miejsce, w którym umrę. Teraz jednak stałem w półmroku hotelowego pokoju, niby w środku świata minionych i przyszłych spraw: jak na polance, z której rozciąga się widok i naprzód, i w tył, wszędzie. W tym, co minęło, nie miałem czego żałować, a byłem gotów ruszyć dalej, i świadomość tej gotowości napełniała mnie smutną i raźną dumą.  
Poszedłem ku łóżku. Widać było tylko jego kontur, prosty, kanciasty jak trumna. Ale kiedy zbliżyłem się i pochyliłem nad poduszką, zobaczyłem dwie białe ręce uniesione ku mnie i twarz dziewczyny, spokojną, i jej szeroko otwarte aksamitne oczy. Ogarnęła mnie tklivość, że ona jest tutaj, nie śpi i czeka na mnie, że pragnie i jest gotowa tę noc pełnej jasności i uczucia siebie spędzić ze

## ALEKSANDER TIŠMA

# Śladem czarnowłosej dziewczyny



Rys. Janusz Szymański-Glanc

rusza za nami, a agent daremnie łapie ją za rękaw i usiłuje zatrzymać.  
— Idziemy? — spytała niecierpliwie blondynka.  
Agent zaklął cicho i puścił rękaw czarnowłosej.  
Słyszmy w milczeniu, po dwoje, przez pusty plac. Kacia przysunęła się i dotknęła mojej twarzy chustką.  
— No, nie bądź zły! — powiedziała cicho, pierwszy raz na ty. — Jutro wieczór też chyba będziesz w Sencie?  
— Nie wiem — odparłem nie z przekory, ale dlatego, że naprawdę nie wiedziałem, czy w maleńkiej Sencie znajdę dość pracy na kilka dni.  
— Zostań — namawiała mnie, żartobliwie żalotna. — Pójdziemy znowu do lokalu, tylko we dwoje. Dobrze?  
— Dobrze.  
— Przyjdę do „Royalu” kolo śmieci.  
I jakby zalatwiła wszystko, co chciała, odsunęła się i przyspieszyła krokiem.  
Na pierwszym rogu skręciliśmy w prawo, w wąską uliczkę i przeszliśmy na drugą stronę. Kacia zatrzymała się.  
— Tutaj mieszkam.  
— Tutaj?  
— Tak. Czy nie mówiłam, że to blisko?  
Staliśmy przed małym, parterowym, bielonym domkiem o bardzo wąskich drzwiach. Kacia wsadziła klucz w zamek.  
— No to dobranoc. — Podawała mi rękę, a tamty machnęła ręką na pożegnanie. — Dobranoc wszystkim i dobrej zabawy.  
Zaśmiała się, jej śmiech był jakiś stłumiony, i zniknęła w ciemnej sionce.  
My obydwaj spojrzeliśmy na siebie, po czym agent zwrócił się do czarnowłosej.  
— Ty idziesz z nami?  
Patrzyła przed siebie szeroko otwartymi oczyma, wruszyła ramionami. Spojrzała na mnie znacząco, ujął ją pod rękę i poprowadził na drugą stronę ulicy.  
— No to chodźmy.  
Wróciliśmy, teraz w troje, na pusty plac. Pomyślałem, że moje przeczucie o szczęśliwym wyborze współtowarzysza okazuje się słuszne, i kiedy doszliśmy przed „Royal”, oświadczyłem:  
— Zajdę jeszcze do restauracji. Ale on się sprzeciwił.  
— Bzdury! Co pan teraz będzie robił w restauracji?  
Odsunął się trochę od dziewczyny i nie puszczać jej łokcia, szepnął mi na ucho: — Niech się pan nie martwi, nie jestem już taki młody jak pan. Tylko niech pan mnie pu-

wsadził klucz w zamek od wewnątrz i dwa razy go przekręcił. Odetchnął.  
— No i tak. Z portierami nigdy nie wiadomo. Potrafią być wredni. — Wciąż jeszcze szeptał. — Lepiej, żeby nie było zbyt dużo słychać.  
Zdjął płaszcz, ja wziąłem z niego przykład. Odwrócił się i gestem zachęcił dziewczynę, która powoli zdjęła płaszcz i chustkę. Stała jednak wciąż, trzymając swoje rzeczy w ręku. Przynajmniej do niej.  
— Tutaj, kochanie. — Powiesił płaszcz i chustkę na oparciu krzesła i wrócił do niej. — Chcesz, żebyśmy zgasił światło? Jednak dwóch nas jest. — I nie czekając odpowiedzi podszedł do drzwi i przekręcił kontakt. Zapanowała ciemność. Była to jednak pozorna ciemność, trwała tylko parę chwil, póki nasze oczy nie przywykły do zmiany i nie przystosowały się do światła ulicznej latarni, które skądś z boku przelikało przez zmarnięte szyby i padało na środek pokoju. Rozbierając się koło swego łóżka widziałem, jak naprzeciwko rozbiera się mój towarzysz, a między nami, mniej więcej na środku pokoju, czarnowłosa dziewczyna. Rozbierała się wolno, spokojnymi i nieco rozrąganymi ruchami, długo rozpięła guziki sukienki — miała zapięcie na plecach, od szyi do wgięcia między łopatkami — potem ściągła ją przez głowę skrzyżowawszy ręce przed twarzą, wolno kołysząc całym ciałem. Suknia unosiła się jak firanka, ukazując jej krągłe kolana, którymi przytrzymała skraj krótkiej koszulki, potem długie uda, biodra, obłą talię, która wykonywała te wżowate ruchy, i strome pierś, co wyskoczyły z krepującej je tkaniny niby dwie piłki. W końcu ukazał się zarys jej poważnej twarzy, rozburzonych włosów, a sukienka poleciała przez powietrze w stronę krzesła jak wielki nocny ptak. Dziewczyna zatrzymała się, jakby z wahanem, potem schyliła się powoli, opuściła i zdjęła pończochy. Wyprostowała się i przez chwilę trzymała je w ręce.  
— Chodź.  
Agent był już w łóżku. Widziałem na tle poduszki jego głowę ze spiczastym nosem. Dziewczyna poruszyła się, z początku bardzo wolno, jakby się tylko zachwiała od rozkazującego głosu, potem nagle pobiegła, chyba na palcach. Przez moment sноп światła latarni liznął jej jędrne nogi, biodra, obłął jej szeroki brzuch, uchwycił jedną rękę i pierś pod koszulą, rozjaśnił nieruchomą twarz i przesunął się dalej. Łóżko skrzyknęło.  
Ja też się położyłem, na wznak, ze skrzyżowanymi pod głową rękami, i

mroku, o jej spokojnych, bardzo kobiecych ruchach. Byłem pewien, że stanie się tak, jak powiedział agent, jakby to zależało tylko od niego i jakbyśmy oboje, dziewczyna i ja, byli wykonawcami jego obietnicy. Czy to, że byłem pijany, dodawało mi odwagi? A może to, że dziewczyna była pijana — jej przymglony wzrok zauważyłem już w restauracji? Może zauważyłem też coś innego, coś, czego teraz, leżąc, nie musiałem przywoływać w pamięci, tak zrosło się ze mną: może coś w tym zwlekaniu, z jakim rozbierała się na środku pokoju, póki nie usłyszała wezwania agenta?  
Wreszcie szelesty umilkły, zapanowała cisza nagle przerwanego ruchu, a po chwili wdarił się w nią wilgotny starczy kaszel. Agent szeptał coś ochryple dziewczynie, ona odpowiadając mu także szepłem. Siatka skrzyknęła, zaszeleściła pościel i półmrok zafalował jak tafla jeziora, przyjmując ponownie zarys jej ciała. Oblało ją światło, jak ogień, teraz od góry w dół, teraz pełniej i na dłuższą. Szła powoli krocząc całymi stopami po wyłożonej dywanem podłodze. Głuchobrzmiący jej kroki. Zniknęła w kącie, gdzie światło nie docierało.  
Z łóżka naprzeciwko doleciał szelest: agent przeciągał się, układał koca. Jednocześnie z drugiego kąta dalał się styczeński płuskanie wody.  
— Nie śpi pan? — wymamrotał.  
— Nie.  
— To dobrze. Tylko proszę być cicho.  
Ziewnął szeroko i dwa, trzy razy poklepał poduszkę. Potem ułożył na niej ciężko i starannie, senną, winem i zmęczeniem zmaczoną głowę.  
W tej samej chwili wyczułem, że dziewczyna wyszła z kąta i zbliżyła się do mojego łóżka. Usiadłem i patrzyłem poprzez sноп światła w ciemność, szukając bieli jej koszulki, lecz nie widziałem nic. Wiedziałem jednak, że się zbliża bo woda przestała pluskać i słyszałem jakiś cichy, ale goraz bardziej rozpoznawalny szmer, który mogła wywołać tylko ona. Nagle zobaczyłem ją. Stała tuż przy mnie, prawie nade mną, rzeźba w ciemności w półmroku, który ledwie dostrzegałnie załamany się na napiętej skórze ramienia i w jakimś zabiłanym promieniu, tworzył duże mleczne pieczęcie na wzniesieniu pierś. Wyciągnąłem rękę i dotknąłem jej. Była naga.  
Przyściągnąłem ją, albo sama wśliznęła się do mego łóżka — nie wiem, tak jak nie potrafię oddzielić prawie żadnego z moich późniejszych działań od działań czarnowłosej dziewczyny. Od chwili, kiedy dotknęliśmy się w

skiem i niespodziankami, wżruszeni i wdzięczni sobie nawzajem, że prawdziła też gry, które właśnie odkrywamy dla nas obojga są jednakowe. Wystarczył jeden mój ruch, by w dziewczynie wywołał właśnie ten oczekiwany odzew, a nawet wystarczała zapowiedź, niemal myśl, która dopiero się formuluje. Ledwie poczułem ciepły napływ krwi w wargach, jej usta na mojej szyi czy ramieniu pęczniały gotowe przyjąć moje, ledwie przesunąłem rękę by ją bliżej przyciągnąć, dziewczyna pierwsza przytuliła się do mnie rozpaloną skórą, a gdy rozkosz we mnie sięgała tam, gdzie — wydaje się — tylko unicestwienie, tylko jakaś ciepła, żywa śmierć może ją wyciszyć, ona siłą swego pragnienia wchłaniała ją całą. Odpoczywaaliśmy razem, przytuleni, gorący, ciało przy ciele. Czulem, że bezsilnie gasną, niezauważalnie zapadam w sen, resztką świadomości rejestrowałem zapadanie jej ciała obok mego, jej głowy na moim ramieniu w nieświadome uspokojenie. Zasnęliśmy. A potem — po minucie czy po dziesiątkach minut — kiedy znowu zacząłem być obecny w swoim cieple i przygotowywałem się, by czule obudzić dziewczynę, czulem jej senną, ale już zdecydowaną podatność. Odnajdywałem się znowu, jak pływający po odpoczynku. Szukałem jej twarzy, rąk, brzucha, i zachwycony przekonywałem się, że są blisko, prawdziwie jak rzeczywistość i niepojęte, jak w mojej wyobraźni, i że nasz uścisk będzie szczęśliwy jak wszystkie poprzednie.  
Po jednym z takich uścisków zapragnąłem przeciągnąć się lub napić wody. Delikatnie, całując dziewczynę, wyswobodziłem się z jej objęć, ostrożnie odchyliłem koca i wstałem. Wokół panowała cisza, tylko z łóżka pod drugą ścianą dolatywało cienieko poświstywanie śpiącego. Ruszyłem do umywalki. Wiedziałem, że w pokoju musi być bardzo zimno, ale nie czulem chłodu, nie czulem nic, nawet własnego ciała, jakby w czystości naszej długiej gry zyskało samodzielną, niezależność, uniezależniło się od własnych praw. Właściwie nie byłem spragniony, czulem tylko potrzebę przerwy, nie cielesnej, lecz jakiejś wewnętrznej czury, aby móc się przekonać czy rzeczywiste jest to, co przeżywałem. Wypływszy kilka łyków prosto z kranu zatrzymałem się w kącie. Przede mną był pokój: promień światła otoczony podkówną półmroku, na którego krańcach czerniały dwa łóżka. W jednym leżała czarnowłosa dziewczyna czekając na mnie, w drugim spał agent, pograżony w nieznanych snach. W dole, pod nami, w

mną do końca. Położyłem się i objąłem ją, osłoniłem, aby uchronić ją i siebie przed tym końcem, który się zbliża, a ona natychmiast objęła mnie mocno i wtuliła wilgotną twarz w moją pierś. Całowaliśmy się ze straceńczą siłą, jakiej nigdy, ani przedtem, ani później w życiu nie doznałem i nigdy nie pojąłem. Potem zasnęliśmy odprężeni. Kiedy się obudziłem, był biały dzień, leżeliśmy przytuleni: agent stojąc przy swoim łóżku, wciągał spodnie na długie nogi w pasiastej piżamie.  
Potem wszystko odbyło się jakoś zbyt szybko albo mnie tylko się tak wydawało po przeżyciach tej nocy. Usiedliśmy w łóżku, trąc oczy, a on spojrzął na nas spod oka.  
— Wygląda, żeście się nieźle zabawili, cha, cha!  
Kaszel przerwał jego śmiech, spoważniał więc i zapinając spodnie, poszedł się umyć.  
My dwoje, jakbyśmy się go wstydzili, wykorzystaliśmy tę chwilę i szybko się ubraliśmy, potem także w pośpiechu umyliśmy się, popychając się nad wąską umywalką, co oboje nas pobudzało do śmiechu.  
Upominał nas:  
— Ciszniej ciszej! Po co mają nas teraz złać?  
Kiedy dziewczyna poszła poszukać grzebieńa w płaszczu, poklepał ją po zacerwienionym policzku.  
— Dobrze ci było z nami, co? Przyjdziesz jeszcze?  
Zartobliwie mu się wyrwała i — ze spinką w ustach, z rękoma uniesionymi do ciemienia — spojrzęła na mnie badawczo.  
Już chciałem dorzucić: „Dziś wieczorem?”, kiedy przypomniałem sobie o spotkaniu umówionym z blondynką, milczałem więc niezdecydowany.  
Agent wziął z krzesła płaszcz dziewczyny, pomógł jej go włożyć i popchnął ją ku drzwiom.  
— Tylko cicho! I jak cię ktoś o coś zapyta, powiedz, że szukałaś koleżanki, ale jej nie znalazłaś. Rozumiesz?  
Znowu ją klepnął, tym razem po ramieniu, ja podszedłem i nieznacznie pocałowałem ją w skroń, ona otworzyła drzwi, uważnie spojrzęła dokoła i wymknęła się.

Przekład z serbsko-chorwackiego:  
MADGALENA PETRYŃSKA

Fragment powieści, która ukaże się nakładem Wydawnictwa Łódzkiego

# Koniec imperium Kruppa?

Nie można się dziwić, że w epoce motoryzacji i wielkiego rozwoju chemii ludziom przyszło do głowy, że ten kto ma naftę ten może czuć się silnym. Już w okresie międzywojennym było oczywiste, że ten kto ma

- mazut ten zapewni sobie panowanie na morzu,
  - benzynę lotniczą - w powietrzu,
  - benzynę samochodową - na lądzie,
- a kto ma wszystko razem i na dodatek jeszcze petrochemię, ten może marzyć o światowej potędze.

Ale historia naszej cywilizacji tak dziwnie się potoczyła, że gdzieś indziej powstały centra przemysłowe, a zupełnie gdzie indziej odkryto wielkie pokłady ropy naftowej. Więcej niż połowa światowych zasobów ropy naftowej, bo 55,2 proc. znajduje się na Bliskim Wschodzie, który jak wiadomo nie należy do przemysłowych rejonów świata. W Afryce jest 10,5 proc. światowej ropy. W Ameryce Południowej - 8,1, w ZSRR - według „Oil and Gas Journal” z 1973 roku - 12,6 proc., ale dane te nie uwzględniają ropy naftowej Syberii, nie do końca jeszcze zbadanej. W każdym razie w krajach socjalistycznych Europy łącznie jest 13 proc. światowych zasobów ropy. W Europie Zachodniej - 2,6 proc.

I jeszcze, żeby te porównania były bardziej czytelne. Otóż według danych z 1973 roku Stany Zjednoczone Ameryki Płn. produkowały dziennie 11 mln baryłek ropy, a zużywały jej dziennie - 17 mln baryłek. Kraje EWG produkowały dziennie pół miliona baryłek, a zużywały 13 mln baryłek ropy. Ale na tym nie koniec. Według prognoz na rok 1980 - a więc na czas nie tak znów odległy - w USA produkować się będzie dziennie około 10 mln baryłek ropy, a zużywać - 24 mln. Z tym, że jak przewiduje się około 11 mln baryłek dziennie sprowadzać się będzie z rejonu Bliskiego Wschodu. Większość ropy naftowej z tego rejonu sprowadzać będą również kraje Europy Zachodniej. Nawet Japonia, która obecnie sprowadza stamtąd 85 proc. potrzebnej jej ropy naftowej, przewiduje, że mimo eksploatacji złóż naftowych Indonezji, będzie jeszcze musiała importować z Bliskiego Wschodu w 1980 roku do 75 proc. potrzebnej jej ropy.

## LODY ANTARKTYDY DLA ARABII SAUDYJSKIEJ

Trudno dziwić się, że w takiej sytuacji panuje powszechne zainteresowanie tym rejonem świata. Wprawdzie sytuacja polityczna Bliskiego Wschodu i rejonu Zatoki Perskiej wyraźnie się zmienia i właściciele złóż naftowych kładą sobie już dziś za ich eksploatację stono płacić, co przysparza państwom naftowym ogromne zyski, ale to w niczym nie pomniejszało zainteresowania państw importujących naftę tak bardzo niespokojną częścią globu. Tym bardziej, że raz szybko wzbogacone państwa tego obszaru, znów grożą podniesieniem cen na naftę.

Kiedy na początku lat pięćdziesiątych ówczesny rząd irański przystępował do nacjonalizacji przemysłu naftowego, otrzymał jednorazowo taką część zysków, która była większa od tego, jaką otrzymywał przez 40 poprzednich lat. Dziś wpływy Iranu, który posiada 9,5 proc. światowych zasobów ropy, w 70 proc. pochodzą z eksportu tego surowca. Ogromne wpływy z nafty czerpie również Arabia Saudyjska, która dysponuje 20,8 proc. światowych zasobów ropy i Kuwejt, który posiada 10,1 proc. złóż. Tylko, że sytuacja Arabii Saudyjskiej czy Kuwejtu jest diametralnie różna od sytuacji Iranu, który dochody z nafty pragnie obrócić na szybkie uprzemysłowienie i rozwój kraju.

- Nafta - jakby jednak na to nie patrzeć - daje ogromne bogactwo i pewien wpływ na politykę światową. Najbardziej to bogactwie. Na bazarze w Kuwejcie jest studnia. Jest to studnia niezwykła. Oto jak ją opisuje w „Złocie piasków” Kazimierz Dzielanowski:

„Z kilkunastu kranów umieszczonych z czterech stron leje się lodowata woda. W studni wbudowano wielką chłodzarkę, aby strudzeni goście i kupcy, gdy mają dość coca-coli, pe-

psi, napajów gazowanych lub soków owocowych, mogli napić się dobrej, zimnej wody. Ze szklanki, którą pokrywa mgielka. A gdy to uczynią wiedzą, że Kuwejt jest krajem niezwykłym, albowiem chłodzonych studzien nie ma nigdzie na Bliskim ani Środkowym Wschodzie.”

Możliwości „nafiarczy” są jednak ogromne. Oto naukowcy francuscy proponowali Arabii Saudyjskiej kupno... gór lodowych. Brzmi to paradoksalnie, niemal fantastycznie, ale już dowiedziano, że można przyholować góry lodowe z Antarktydy, które toniejąc w miejscu przeznaczenia zwiększają zapasy słodkiej wody. Góry lodowe dla Arabii Saudyjskiej też pochodziłyby z Antarktydy i byłyby przyholowane na odległość 7700 km. Taki niecodzienny transport trwałby - jak obliczyli to naukowcy - od 6 do 12 miesięcy. Projekt jest dokładnie opracowany technicznie i wzbudził w Arabii Saudyjskiej przychylne zainteresowanie. Nie powiedziano wprawdzie tak, ale nie powiedziano też - nie.

## NOWY WCHODZI DO GRY

Pomysł sprzedaży Arabii Saudyjskiej antarktycznych gór lodowych brzmi może fantastycznie, ale nie jest to pomysł tego typu, co sprzedanie „ciemniakowi z prowincji” Kolumny Zygmunta czy Pałacu Kultury i Nauki. Po prostu w tym rejonie brakuje wody i każdy pomysł, który mógłby taki deficyt zlikwidować, jest dobry. Nie o koszty chodzi, a o techniczne możliwości.

Nie wszyscy jednak „nafiarczy” rozglądają się za tak skomplikowanymi sposobami ulokowania pieniędzy. Oto przykład wprawdzie z innego regionu świata, ale nie odbiegający od pewnej normy, od typowości. Wychodzący od blisko 200 lat angielski tygodnik „Observer” znalazł się nagle w obliczu bankructwa. Potrzeba było niebagatelnej sumki 10 milionów dolarów, aby pismo mogło nadal egzystować. Zainteresowali się tym najpierw fachowcy, czyli magnaci prasowi: australijski - Rupert Murdoch oraz pani Sally Aw Sian z Hongkongu. Jednakże po zbadaniu sprawy wycofali się z interesu.

Wtedy na widowni pojawili się przedstawiciele arabskich krajów naftowych, ale rada opiekunów „Observera” odrzuciła te propozycje. Odrzucono nawet propozycję kupna tygodnika przez Oleg Deterding - córkę założyciela anglo-holenderskiej korporacji naftowej „Royal Dutch Shell”. Odrzucono, choć logika nakazywała dobieć do wniosku, że tylko „nafiarczy” są w stanie włożyć pieniądze w tak wątpliwy interes. I logika zwyciężyła. W rezultacie „Observera” kupił amerykański koncern naftowy „Atlantic Richfield”, albo inaczej „ARCO”, a dysponentem angielskiego tygodnika „Observer” stał się prezes tego koncernu - Robert Anderson, który - jak to podał angielski „Times” - pragnie uczynić z „Observera” światową wykładnię jego poglądów.

Tak więc dziś ten, kto posiada ropę naftową może nie tylko mieć wpływ na panowanie na morzu, w powietrzu i na lądzie, ale też i na wiele innych spraw. Na przykład od 1 grudnia 1976 roku na przykład Libia stała się akcjonariuszem włoskiej firmy „Fiat”, kupując poprzez „Libyan Arab Foreign Bank” 9,7 proc. akcji „Fiata”. Poza tym libijski bank udzielił „Fiatowi” pożyczki, w wyniku której w 1982 r. Libia będzie dysponowała już 13,5 proc. akcji „Fiata”.

Transakcja ta spotkała się z wielkim zadowoleniem Włoskiego Związku Przemysłowców, który uznał, iż „fakt, że obce państwo decyduje się na inwestycje we Włoszech świadczy o zaufaniu do możliwości rozwojowych gospodarki włoskiej”, a która - jak wiadomo - nie znajduje się znów w tak bardzo dobrym stanie. Natomiast Luciano Barca na łamach „Unity” ustosunkował się do tego kroku „Fiata” z dużą ostrożnością, kierując swoje zainteresowania na stronę przyszłości, zastanawiając się, co to da nowego w dziedzinie inwestycji i produkcji „Fiata”. Inne pisma włoskie wyraziły obawy z powodu coraz większego wymykania się przemysłu spod kontroli państwa.

Włochy jednak nie przeżyły takiego szoku, jaki stał się udziałem RFN, po wykupieniu 25,01 proc. udziałów koncernu „Fried Krupp GmbH” przez szacha Iranu Mohammada Rezę Pahlawi.

## IMPERIUM KRUPPA

Rodzina Kruppów pojawiła się w Essen pod koniec XVI wieku. Kroniki miasta wspominają o Arncie vel Arnoldzie Krupe - handlarzu win i wódek. Jego następcą pisal się już Krup, ale jeszcze przez jedno „D”. Był nim Antoni Krup - również handlarz win i wódek, który jednak próbował też handlować bronią. W ogóle Kruppowie przez długie lata zajmowali się handlem oraz byli bardzo czuli na wszelkie miejskie dostojstwa, chętnie piastując różne urzędy w Essen. Dopiero pod koniec XVIII wieku Helena Amelia Krupp stała się zresztą zupełnie przypadkową - właścicielką huty. Zajmowała się ona lichwą - od czego ówczesni Kruppowie nie stroniли - i musiała wykupić Hutę „Zur guten Hoffnung”, pod zastaw której pożyczycza jej właścicielowi sporą sumę talarów.

Przemysiem próbował się też interesować Fryderyk Krupp - powszechnie uważany za założyciela firmy. Zmarł on w 1825 roku, w wieku 39 lat, pozostawiając swemu spadkobiercy Alfredowi Kruppowi 2 fabryki z kilkoma robotnikami i 10 tysięcy talarów długu. Alfred Krupp miał wówczas 14 lat. Na szczęście charakter wziął po matce i z całym uporem poświęcił swoje życie fabryce. Zbudował w Essen pokraczny dom w stylu hali dworcowej, do którego prowadził osobne wejście na dworzec Essen - Hügel, jako że Alfred Krupp uwielbiał podróżować, a były to na ogół podróże za interesami.

Jeśli nie zbudował, to założył podwaliny pod imperium Kruppów, stał się pierwszym cesarskim producentem broni, zdobył uznanie i sympatię dworu w Berlinie. Cesarz Wilhelm II za interesował syna Alfreda Kruppa - Fryderyka Alfreda produkacją wyposażenia dla marynarki wojennej. Jego wnuczka Berta poślubiła dyplomata Gustawa von Bohlen und Halbach, który stał się głową najbogatszej niemieckiej rodziny i najsłynniejszej niemieckiej firmy. Syn Berty Krupp i Gustawa von Bohlen und Halbach - Alfred mógł już używać połączonych nazwisk Krupp von Bohlen und Halbach. Jego ojcem chrzestnym był sam cesarz, a on - właścicielem największej niemieckiej firmy. Umierając w 1967 roku przekształcił firmę Kruppów w towarzystwo akcyjne, powołując też fundację „Alfried Krupp von Bohlen und Halbach Stiftung”. Było to jednak nadal przedsiębiorstwo typowo niemieckie, żeby nie powiedzieć czysto niemieckie.

„Królowie armat” - jak nazywano Kruppów - dostarczali broni przede wszystkim Niemcom, ale nie tylko. Słynne działo Kruppa „Gruba Berta” wzięło swoje imię od wnuczki Alfreda Kruppa. Kruppowie uzbrajali Niemcy w czasie pierwszej wojny światowej i w czasie drugiej. Alfred Krupp Bohlen und Halbach skazany został w Norymberdze, jako winny zbrodni wojennych na 12 lat więzienia. Kruppowi i dziś nie obcy jest współdziałanie w produkcji broni, a to było między innymi powodem wielu niepokoi, kiedy rozszła się wiadomość, że w radzie nadzorczej koncernu zasiadają Irańczycy.

## 19 PAŹDZIERNIKA W TEHERANIE

Transakcje dokonano 19 października 1976 roku w Teheranie. Przed podpisaniem umowy szach Iranu - Mohammad Reza Pahlawi zwiędził stoisko Kruppa na odbywających się wówczas Targach Teherańskich. O przygotowywanej transakcji wiedziało zaledwie kilka osób, a między in-

nymi boński minister gospodarki Hans Friderichs. Dla pozostałych opublikowany komunikat był pełnym zaskoczeniem.

„Rząd cesarsko-irański i Fundacja Alfreda Kruppa von Bohlen und Halbach, Essen, RFN, - glosil komunikat opublikowany w Teheranie - zakomunikowały w dniu dzisiejszym, że Iran zawarł porozumienie i będzie udziałowcem firmy Fried Krupp GmbH w wysokości 25,01 procent. W wyniku tej transakcji Iran staje się ważnym współwłaścicielem koncernu Kruppa, który składa się ze 135 filii i firm stowarzyszonych, działających w 25 krajach”.

Warto tu jeszcze przypomnieć, że koncern zatrudnia około 80 tys. pracowników.

I zaczęło się. „Berthold Beitz - pisal „Frankfurter Rundschau” - ma wprawdzie rację, gdy mówi dziennikarzom: „Szach nie może nas zmusić, abyśmy nagle wzięli się do produkcji broni”. Prawda jest jednak również, że mógłby on z powodzeniem postawić veto, gdyby Krupp chciał zbudować fabrykę broni na przykład w Indiach, w Pakistanie, czy też w innych państwach, z którymi Iran łączy napięte stosunki. To samo dotyczy również znacznie niewinniejszych projektów.

Mogą też wyniknąć problemy przy zamówieniach dla Bundeswehry - pisal dalej „Frankfurter Rundschau”. - Na co przydadzą się surowe naskazy tajności, jeśli u Kruppa - a jest to zupełnie realne - coraz więcej wstających przez szacha irańskiego inżynierów będzie stało przy rajbretach?”

Komentatorzy nie bez słuszności wskazują na fakt, że koncern Kruppa znalazł się w trudnej sytuacji i irańskie pieniądze były dla niego bardzo potrzebne. W ubiegłym roku - jak pisal „Stuttgarter Zeitung” - Krupp zamknal swój bilans 170 mln deficytu i jak przyznal to publicznie szef działu finansowego firmy - dr Alfred Lukac w roku obecnym „oczekuje się deficytu w analogicznej wysokości”. O sytuacji Kruppa tuż przed zawarciem transakcji pisal „Spiegel”. Berthold Beitz - przewodniczący rady nadzorczej koncernu - bardzo się niepokoił, co wiadomość ta nie zniechęci Irańczyków. Ale okazali się wytrwali w swoich zamierzeniach. Co nimi kierowało. Pytanie to zadali szachowi Iranu przedstawiciele „Spiegla”.

„SPIEGEL: - Czy wolno nam przy okazji zadać Waszej Cesarskiej Mości pytanie dotyczące Kruppa: Wasz udział nieco zaskoczył naszą finansjere. Cena wysokosc 875 milionów marek zdaje się przekraczać stanowczo rzeczywista wartosc 25-procentowego udzialu w dzialalnosci towarzystwa, które ponosi straty prawie we wszystkich swych branżach. Co właściwie bylo tu aż tak atrakcyjne w nawiązaniu takiego kontraktu z Kruppem?”

M. REZA PAHLAWI: - Techniczne know-how Kruppa.

SPIEGEL: - Przecież mogliście również nabywać licencje, albo angażować ekspertów...

M. REZA PAHLAWI: - Można by to zrobić, ale z wielu względów nie sądzimy, że straty Kruppa stana się większe. Z jednej strony już dzieki temu udziałowi powstaje dla Kruppa w naszym kraju nowe prace. Ponadto zaś możemy współpracować z Kruppem również poza moim krajem i poza Niemcami w krajach trzecich...

SPIEGEL: - Abstrahując od Waszego udziału w dzialalnosci Kruppa wydaje się, że nie jestecie zainteresowani w nabywaniu nowych udzialow. Co bylo przyczyna tego stanu rzeczy?

M. REZA PAHLAWI: - Ale obecnie już jesteśmy w tym zainteresowani.

SPIEGEL: - Nic jednak nie nabyliście.

M. REZA PAHLAWI: - Rzeczywiście nie, ale stale poszukujemy takich możliwości...

Iran jednakże już w 1974 roku kupil 25,04 proc. akcji jednej z firm koncernu Kruppa - „Fried Krupp Hüttenwerke AG”. We wrześniu 1977 roku Iran kupil 25,02 proc. udzialow w niemieckiej filii angielskiej firm „Babeoek and Wilcox LTD”. W 1978 roku Iran zdobył 40 proc. udzialow w brazylijskiej firmie „Schmidewerke Campo Limpo”, związanej z niemieckim przemyslem.

Szach Iranu wychodzi z założenia, że płynących z nafty pieniądze nie można zmarnować. Trzeba je tak wykorzystac, aby wtedy, kiedy wyzerpa się pokłady ropy, można było dysponować takim potencjałem gospodarczym, który nie zepchnie Iranu znów w przepaść nędzy i zacoiania. Trudno takiemu rozumowaniu odmówić racji. Ale też trzeba pamiętać, że w latach 1975-1976 budżet Iranu zamyka się deficytem 2,4 mld dolarow. Gdyby więc „OPEC” postanowila, że od 1 stycznia 1977 roku wzrosnie cena nafty wtedy sytuacja wygladalaby troche inaczej, choć wielu komentatorow zagranicznych zwraca uwage na istotne niebezpiecznosc tego kroku. Ale to już osobna sprawa.

Miałam niedawno okazję obejrzeć kilka odcinków, w sumie 12-godzinnego, filmu telewizyj francuskiej pt. „Dzieje filmu francuskiego”. Pokazywany ostatnio w Polsce w zamkniętym rozpowszechnianiu (ośrodki uniwersyteckie, kluby filmowe itp.) film ten nasuwa kilka refleksji, z którymi pragnęłabym podzielić się z Czytelnikami.

Przy wszystkich trudnościach, jakie towarzyszą próbom kontaktów z filmem wykraczającym poza podstawowy sposób ich dystrybucji, tzn. sieć kin i przekaz telewizyjny, poziom kultury filmowej podniósł się w naszym kraju znacznie. Ma na to wpływ wiele czynników i właściwie dawno już minęły czasy, gdy miłośnicy sztuki filmowej skazani byli wyłącznie na to, co proponował im dystrybutor kinematograficzny. W pionierskich latach działał na rzecz rozwoju kultury filmowej, a był to przełom lat 50 i 60, zadania te wzięły na siebie dyskusyjne kluby filmowe, których kulturotwórczą rolę trudno dziś z perspektywy czasu przecenić. Były one jedyną formą dotarcia do klasyki filmowej i one to wychowały całe pokolenie świadomych odbiorców tej sztuki i późniejszych działaczy i popularyzatorów kultury filmowej. Bohaterski czas DKF-ów minął bezpowrotnie, choć nadal działają, skupiając wciąż liczne grono amatorów rozrywki wyższego rzędu.

Gwałtowny rozwój telewizji w ogromnym stopniu zmienił warunki i możliwości kształtowania kultury filmowej. Przypadkowy, schlebający mniej wybrednym gustom program filmowy TVP zaczął podlegać pewnym selekcjom i określona porządkowi. TVP wykorzystala tu do świadczenia kinematografii i zaprasza dziś widzów do swego Kina Interesujących Filmów (tak nazywa się niekiedy kina studyjne), do swego Klubu Filmowego, do Starego Kina i do Filmoteki Arcydzieł. Proponuje też cykle autorskie i tematyczne takie, jak np. cykl filmow Ingmara Bergmana czy cykl „Miłość niejedno ma imię”.

Zasięg oddziaływania telewizji pomnożył w sposób ogromny krąg widzów, dla których tytuły wielu wybitnych filmow czy nawet arcydzieł przestały być pustymi dźwiękami. Zacharowane koło niemożności poznania tego, co w dziejach kina najważniejsze, zostało przetrwane. A przecież koło to w brutalny sposób obejmowało filmy, które na przykład dla najstarszych roczników jednego szkolnego pokolenia będąc repertuarem bieżącym, dla pierwszych roczników było już zamkniętą przeszłością kina, gdyż czas obiegu czyli rozpowszechniania zakupionego filmu wynosi średnio 5 lat. Po nich film trafia do Filmoteki i staje się legendą. Kto dziś, nie będąc członkiem DKF, może obejrzeć „Rzym, miasto otwarte”, „Viridianę”, „Hiroszimę, miasteczko”, „Osium i pół” czy nawet „Persone”. A przecież przypominam dzieła reprezentacyjne nie tylko dla filmu współczesnego? Kto - oczywiście telewizja, a więc bez mała każdy już obywatel naszego kraju. Przy całym dobrodziejstwie telewizji możliwości te pozostają jednak ograniczone i skazane na przypadkowość.

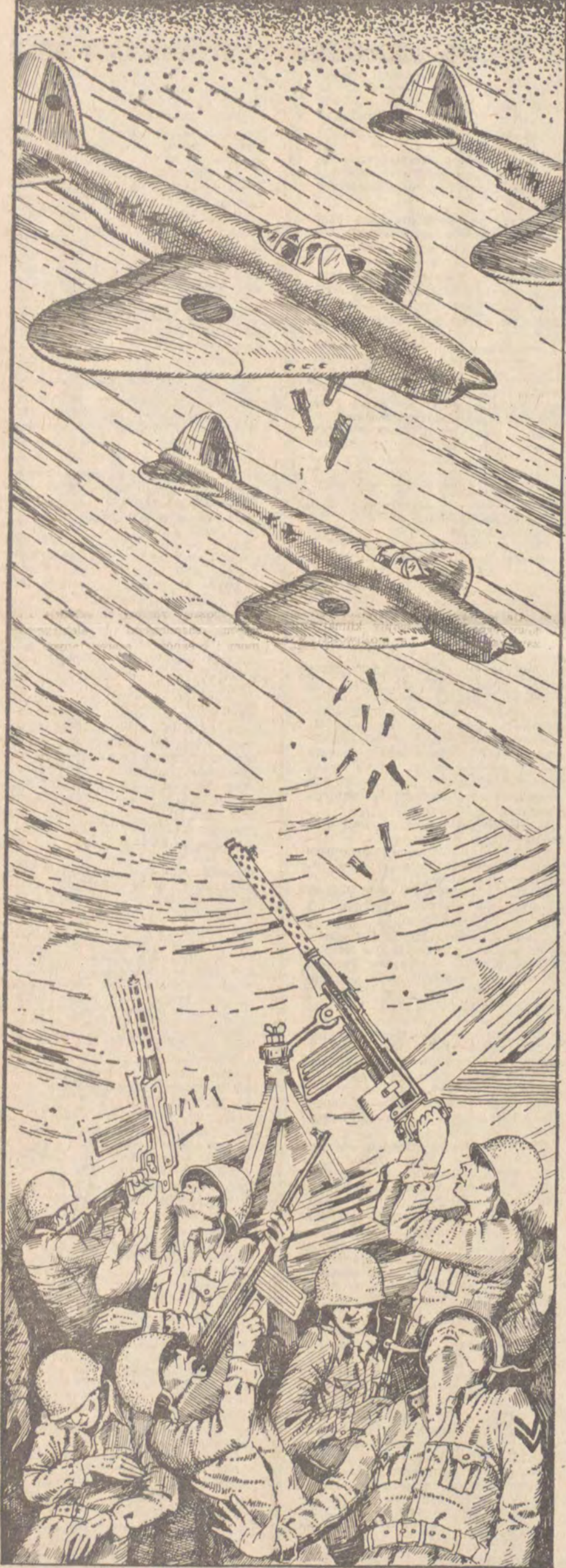
Wspomniany u początku tych rozważań „serial” telewizyj francuskiej na tę właśnie przypadkowość zwraca uwagę. Dzięki TVP oglądamy dziś wiele filmow, do których bez niej nie mamy dostępu, oglądamy je jednak okolicznościowo i bez porządku. Projekcjami tymi, poza formami cykliw autorskich, nie rządzi żaden wewnętrzny ład. Dlatego też wobec wielu pokazowanych filmow, które jeden czy drugi komentator TV, najczęście za pan red, Jacek Fuksiewicz, nazywa arcydziełami, telewizja staje nieco skostnowana. Dzieje się tak z pewną prostą przyczyną. Dzięki telewizji nadrabiamy zaległości w zakresie kultury filmowej, to prawda, lecz ocenie dzieł z różnych dziedzin sztuki towarzyszy zawsze jakaś świadomość ich wewnętrznego procesu historycznego. Świadomość ta w odniesieniu do sztuki kina jest wyjątkowo skromna. Nie kształtuje jej przecież jeszcze szkoła, a tzw. samokształcenie z przyczyn wyżej wymienionych jest bardzo ograniczone.

12-godzinne „Dzieje filmu francuskiego”, choć nie zachwycały tych, którzy mieli okazję je obejrzeć i można się o formule takiego kursu spierać, uzmysłowiły jednak potrzebę takich programow. Do sprawy tej powróć jeszcze za tydzień, a dziś, korzystając z choinkowego nastroju, składam jedynie prośbę o prezent na przyszły rok dla wszystkich miłośników kina.

EWA NURCZYŃSKA

Adam Czernski

# atak nastąpił o świcie



Rys. Janusz Szymbański-Głanc

Trzydzieści pięć lat temu, 7 grudnia 1941 roku, o godzinie 7.58 na falach eteru popłynęła w świat elektryzująca wiadomość:

„Atak powietrzny na Pearl Harbor. To nie są ćwiczenia”.

Bombardowania dokonały samoloty 6 lotniskowców wchodzących w skład tzw. Grupy Uderzeniowej dowodzonej przez wiceadmirała Nagumę. Zniwo było straszliwe. W ciągu 2 godzin, główne siły amerykańskie, które mogły przeciwstawić się Japonczykom — Flota Pacyfiku oraz lotnictwo podległe generałowi MacArthurowi — zostały zlikwidowane. Zatonionych, bądź poważnie uszkodzonych zostało 16 dużych okrętów, w tym 8 pancerników oraz szereg jednostek pomocniczych. Zniszczeniu uległo także 178 samolotów, a 159 było poważnie uszkodzonych. Zginęło 2.403 Amerykanów.

## CO BYŁO WCZEŚNIEJ

Przez wiele lat od tego fatalnego dnia historycy i specjaliści wojskowi usiłowali znaleźć rozwiązanie zagadki powodzenia tego zaskakującego ataku Japonczyków.

Konflikt interesów między USA i Japonią, jaki nastąpił w 1941 roku, nie został wywołany nagle. Na jego nieuchronność wskazał już w 1918 roku Włodzimierz Lenin, pisząc:

„Ekonomiczny rozwój Japonii nagromadził w ciągu kilku dziesięcioleci niezliczone mnóstwo materiału palnego, który czyni nieuniknionym starcie się państw o panowanie na Oceanie Spokojnym i na jego wybrzeżach. Cała dyplomatyczna i ekonomiczna historia Dalekiego Wschodu czyni zupełnie niewątpliwym fakt, że na gruncie kapitalizmu nie można zapobiec dojrzewającemu ostremu konfliktowi między Japonią a Ameryką”.

W okresie międzywojennym Japonia wykorzystując zwycięstwa odniesione w wojnach z Chinami i Rosją oraz zdobycze I wojny światowej stworzyła silny blok terytorialny trwale oparty o kontynent, który reprezentował sobą poważny potencjał gospodarczy.

## ZACZĘŁA SIĘ WOJNA

Japonczycy wkroczyli do Indochina w lipcu 1941 roku, wykorzystując bezsilność rządu Vichy. Ten fakt został odebrany w Stanach Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii jako krok godzący w podstawowe interesy tych krajów i stanowiący zarazem prelude do ataku na Indie Holenderskie i Singapur. W następstwie tego USA, będąc dla Japonii głównym dostawcą ropy naftowej i złomu żelaznego, postanowiły wprowadzić embargo na ich dostawę do tego kraju oraz zablokować wszystkie japońskie aktywa w Stanach Zjednoczonych. Dla japońskich kręgów politycznych, znajdujących się pod silną presją wojskowych, którzy przeniknęli do gabinetu, było to wyzwanie rzucone pozycji Japonii w tej części świata. Niebawem też upadł gabinet cywilny księcia Konoye i 17 października 1941 roku premierem został generał Hideki Tojo. 10 listopada 1941 roku naczelny dowódca floty, admirał Yamamoto i dowódca południowej grupy armii, generał Teranęzi podpisali dyrektywę precyzującą plan ekspansji militarnej na Filipiny, Malaje i Borneo. Przedtem miał jednak być atak na Pearl Harbor.

## PEARL HARBOR

Strategiczne plany japońskiej admiralacji przewidywały, iż w razie wybuchu wojny zadaniem floty amerykańskiej stacjonującej w Pearl Harbor będzie atak przeciwko Japonii. Przeciwdziałanie floty cesarskiej miało początkowo ograniczyć się do działań nekających, prowadzonych przez okręty podwodne, po czym, gdy dojdzie do spotkania obu flot, już na wodach japońskich, strona amerykańska byłaby już na tyle osłabiona, iż możliwe będzie pokonanie jej w jednej rozstrzygującej bitwie. Zmiana w japońskiej strategii nastąpiła w 1940 roku, kiedy to admirał I. Yamamoto uznawszy, iż szkolenie pilotów lotnictwa morskiego dało świetne rezultaty, zaproponował szefowi sztabu marynarki użycie lotniskowców dla sparalizowania amerykańskich sił morskich na Hawajach przez uderzenie lotnictwa na Pearl Harbor. W swej argumentacji Isoroku Yamamoto wskazywał, iż nim Flota Pacyfiku zostałaby odbudowana, Japonia zdążyłaby zagarnąć południowo-wschodnią Azję wraz z jej zasobami surowcowymi.

W końcu stycznia 1941 roku peruwiański ambasador w Tokio, dr Ricardo Rivera Schreider, powiedział swemu przyjacielowi, I sekretarzowi ambasady amerykańskiej, Crockerowi, o krążącej pogłosce, jakoby Japonczycy zamierzali dokonać niespodziewanego ataku na Pearl Harbor przy użyciu wszystkich posiadanych sił. Crocker natychmiast przekazał otrzy-

maną wiadomość ambasadorowi Grewwowi, a ten z kolei przedepeszczył ją do Waszyngtonu. Jednak w kwatrze głównej wywiadu morskiego uznano, iż informacje są grubo przesadzone.

A admirał Yamamoto już działał. 1 lutego wystosował on nieoficjalny list do szefa sztabu XI Floty Powietrznej, kontradmirała Takijiro Onishi, w którym przedstawił swój plan i poprosił o dokonanie oceny szans jego realizacji. Onishi zlecił opracowanie potrzebnej analizy komandorowi Minoru Genda, uchodzącemu za jednego z najlepszych oficerów morskich sił powietrznych. Wnioski, jakie Genda przedstawił po 10 dniach intensywnych studiów wskazywały na poważne trudności i ryzyko planowanego przedsięwzięcia, choć podkreślił zarazem, iż ma on „rozsadną szansę powodzenia”. W tym samym czasie Yamamoto zlecił opracowanie projektu ataku swemu oficerowi operacyjnemu kpt. Kameto Kuroshima.

## HAZARDOWA KONCEPCJA

Po kilku dniach pracy wyłonił się plan operacji. Jego powodzenie zależało jednakże od dwóch niepewnych założeń:

1. iż flota Pacyfiku będzie stacjonować w Pearl Harbor w momencie ataku;
2. że eskadra japońskich lotniskowców będzie mogła podpłynąć dostatecznie blisko, niezauważona przez strażnicę amerykańską.

Była to więc niezwykle hazardowa koncepcja.

W dwa dni po wysłaniu listu do kontradmirała Onishi, Yamamoto przedstawił plan kpt. Kanji Ogawa z wywiadu floty. Poprosił go o zebranie możliwie największej liczby danych dotyczących Hawajów. Ogawa dysponował już niewielką grupą swych agentów na tych wyspach. Postanowił jednak wysłać dodatkowo jednego z ekspertów, którego od dłuższego czasu przygotowywano do takiej misji. Człowiekiem tym był Takeo Yoshikawa.

## SPECJALNY AGENT

20 marca 1941 roku wsiadł on na statek w Yokohamie i w tydzień później przybył do Honolulu. Aby nie tracić cennego czasu, Yoshikawa przystąpił natychmiast do działań. Przede wszystkim odbył on podróż po wszystkich trzech głównych wyspach i wokół Oahu. Na tej podstawie uzyskał pewność, że nie ma tam żad nych innych okrętów poza tymi, które stacjonowane są w Pearl Harbor. Obserwował port. Kilka razy udał mu się przedostać na teren bazy.

## ZADANIE: ODWRÓCIĆ UWAGĘ

5 listopada 1941 r. zdecydowano, iż w przypadku niepowodzenia rokowań dyplomatycznych z Ameryką w sprawie „zachowania pokoju”, terminem rozpoczęcia działań wojennych będzie 25 listopada 1941 r. Propozycje japońskie w tych rokowaniach były oczywiście stawiane w sposób nie do przyjęcia dla strony amerykańskiej.

Flota japońska, dowodzona przez wiceadmirała C. Nagumę, już od kilku dni płynęła w kierunku wyznaczonego celu — Pearl Harbor. 1 grudnia 1941 r. jej dowódca odebrał szyfrowany rozkaz admirała Yamamoto nakazujący uderzyć w niedzielę, 7 grudnia 1941 r. o świcie. 6 grudnia wieczorem flota miała zająć pozycje w odległości ok. 500 mil na północ od wyspy Oahu. Przez cały czas japońskie zgromadzenie pozostawało nie wykryte przez Amerykanów.

## CZY AMERYKANIE WIEDZIELI?

Wywiad amerykański dość wcześnie zauważył zniknięcie z eteru „korespondencji” czterech japońskich lotniskowców. Nie zadano sobie jednakże trudu, aby zbadać ów fakt dokładniej. Podobnie było w październiku 1941 roku, gdy Amerykanom udało się zdobyć klucz do japońskiego szyfru morskiego, dzięki któremu przechwycono szereg radiogramów dotyczących planowanego ataku, a także zawierających tajne instrukcje dla ambasadorów Nomury i Kuruwu w Waszyngtonie.

6 grudnia 1941 r. rozszyfrowano np. depeszę z zaleceniem, aby notę rządu Japonii wręczyć sekretarzowi stanu 7 grudnia o godz. 13 (czasu waszyngtońskiego, tj. gdy na Hawajach było 7.30). Również rejs floty wiceadmirała Nagumę do miejsca przeznaczenia wbrew pozorom, został jednak zauważony przez Amerykanów. W parę godzin po opuszczeniu przez japońską Grupę Uderzeniową Zatoki Hitokapu, podpułkownik Holmes, którego zadaniem było śledzenie ruchów okrętów japońskich, zameldował swemu zwierzchnikowi w Pearl Harbor, że zaobserwował 6 nieprzyjacielskich

lotniskowców. Holmes przyznał jednak, iż wkrótce zgubił ich ślad. Mijał dzień za dniem, a do centrali na Hawajach nie napływały żadne informacje, które pozwalałyby zlokalizować aktualne położenie lotniskowców. 2 grudnia podpułkownik Layton, adiutant admirała Kimmela do spraw wywiadu, powiadomił swego szefa o sytuacji. „Jeśli nawet Kimmel zaniepokoił się — jak podaje książka „The Rising Sun” — to w każdym razie nie dał tego poznać po sobie”.

Konsul Kita otrzymał właśnie z Tokio depeszę następującej treści:

„Ze względu na obecną sytuację, jest rzeczą absolutnie istotną sprawdzenie, czy w porcie znajdują się pancerniki, lotniskowce i krążowniki. Dlatego też należy uczynić wszystko, aby na bieżąco przekazywać nam informacje w tej sprawie. Zależy nam również na informacjach o tym, czy wypuszczone zostały balony zaparowe i czy pancerniki są zaopatrzone w sieci przeciwtorpedowe”.

Depesza ta po przechwyceniu jej przez podsłuch na Hawajach i przekazaniu do Waszyngtonu trafiła na dno szuflady czyjśgo biurka jako nie mająca nic wspólnego z dyplomacją, a zatem mało istotna. Inna depesza przechwycona w tym samym czasie zawierała polecenia dla ambasady Japonii w Waszyngtonie w sprawie zniszczenia tajnych dokumentów i książek kodowych. Po sprawdzeniu, iż istotnie pracownicy ambasady pałają podwórzem jakieś papiery, szef wywiadu wojskowego, Sherman Miles oraz jego zastępca do spraw Dalekiego Wschodu, płk Nratton doszli do wniosku, że „należy oczekiwać wybuchu wojny lub co najmniej zerwania stosunków dyplomatycznych”.

## PRZED ATAKIEM

W Oahu padał deszcz. Nad Pearl Harbor krążyła mała awionetka „Pipper Cub”. Na pokładzie której znajdował się Yoshikawa — dokonujący swej ostatniej wizytacji z lotu ptaka. Otrzymał właśnie pilną depeszę z Tokio, żądającą przesłania „podsumowującego raportu na temat floty amerykańskiej”. Po wylądowaniu Yoshikawa wykonał jeszcze jedną rundę wokół Pearl Harbor, po czym przetelegrafował do Tokio:

„...Po południu, 5 bm. w porcie zakotwiczone były następujące okręty: 3 pancerników, 3 lekkie krążowniki, 16 niszczycieli”.

Radiogram ten został przechwycony przez amerykański system deszyfrujący „Magie”, jednakże Yamamoto nadal miał szczęście. Depesza została bowiem umieszczona w szufladzie z napisem: „Sprawy na później”.

Po południu 5 grudnia ostateczna wersja noty do Hull'a wraz z generalnymi instrukcjami dla japońskiej ambasady w Waszyngtonie przekazana została do wydziału łączności japońskiego MSZ. Naczelnikiem wydziału był Kazuji Kameyama. Polecenie mu tak przetelegrafować te instrukcje, aby dotarły one do Waszyngtonu 6 grudnia około godziny 8.00 rano czasu miejscowego. W godzinę później miało być wysłane 13 pierwszych akapitów noty. Ze względu na bezpieczeństwo, ostatnia — czternasta — część noty, mówiąca o zerwaniu rozmów dyplomatycznych, nie miała nadejść do Waszyngtonu wcześniej niż o godz. 4.00 lub 5.00 rano, w dniu 7 grudnia.

W Waszyngtonie była jeszcze sobota, 6 grudnia. W listach oficjalnych panowało zaniepokojenie wywołane raportem admiralacji brytyjskiej donoszącym, iż eskadra japońska — złożona z 35 statków transportowych, 8 krążowników i 20 niszczycieli — płynęła wprost na Półwysp Malajski. Na codziennej naradzie sztabowej sekretarz marynarki, Knox, zapytał:

— Panowie, czy waszym zdaniem szykują się oni do ataku na nas?

Konradmiral Turner, uważany za rzeczelnika admirała Starke, odpowiedział:

— Nie, szykują się do ataku na Brytyjczyków. Do ataku na nas nie są jeszcze gotowi.

Personel wydziału kodowego w dowództwie floty szykował się do weekendu. Jedną z tłumaczek — Dorothy Edgers — mając nieco wolnego czasu zaczęła wertować nie posegregowane jeszcze depesze, przechwycone przez system „Magie” i umieszczone w przegródce dla materiałów o drugorzędnym znaczeniu. Były tam także radiogramy dotyczące Hawajów. Edgers rozpoczęła pracę w wydziale kodowym zaledwie przed kilkoma tygodniami i wszystko ją jeszcze interesowało. Wśród depesz znalazła m.in. instrukcje i zapytania skierowane z Tokio do konsula Kity w Honolulu w sprawie ruchów okrętów sieci zagrodowych oraz balonów zaparowych nad Pearl Harbor. Inna depesza z datą 3 grudnia zawierała długi raport Yoshikawy dla centrali wywiadu w Tokio informujący, w jaki sposób agent Otto Kuehn będzie przekazywał meldunki na temat floty w Pearl Harbor, okrętom japońskim zbliżającym się do wyspy Oahu. Z raportu



## HISTORIA NAJNOWSZA

wymikało, że Kuehn miał to robić przy pomocy wystawiania świateł w oknach, palenia ognisk w celu nadania sygnałów dymnych oraz zamawiania w miejscowym radiu odpowiednio zredagowanych reklam ogłoszeń.

Kiedy wysoce zaniepokojona treścią depesz Dorothy Edgers przekazała je swemu szefowi ppłk Kramerowi, ten wcale nie przejął się wiadomościami w nich zawartymi, a jedynie skrzyty kował jakoś tłumaczenia. Wreszcie zdecydował, że teksty wymagają szeregu przeróbek i że będzie to zrobić w następnym tygodniu. W odpowiedzi na protesty Edgers, Kramer uznał, że sprawa może w każdym razie poczekać do poniedziałku. W taki oto sposób „Operacja Z” (krytycznym ataku na Pearl Harbor) ponownie uniknęła wykrycia jej.

Była godzina 20.30, gdy amerykańscy specjaliści z wydziału deszyfrującego przełożyli wszystkie 13 części noty Togo. Po upływie kilkudziesięciu minut tekst ich został przekazany prezydentowi Rooseveltowi. Prezydent rozmawiał właśnie z Harry Hopkinsiem, jednym ze swych najbliższych doradców. Po przeczytaniu tekstu, Roosevelt podał go w milczeniu Hopkinsowi. Kiedy ten skończył czytać, prezydent powiedział: „Oznacza to wojnę”.

W Oahu był jeszcze sobotni wieczór. Generał Short odbywał właśnie naradę z oficerami wywiadu i kontrowywiadu. Dyskutowali oni nad podjętym przez FBI tekstem rozmowy telefonicznej między jednym z miejscowych japońskich dentystów, a redaktora pewnego dziennika w Tokio. Wydawca tego pisma zdradzał dziwne zainteresowanie Hawajami. Interesowały go mianowicie stacjonowane tam samoloty, reflektory przeciwlotnicze, pogoda oraz... kwiaty. Wszyscy lamali sobie głowy czy słowa dentysty-korespondenta, wskazujące, iż pomyśleń są w pełni rozkwitu, mają jakiegoś szczególne znaczenie. A może to sztyf, ale w takim razie co oznacza?

Na następny dzień tzn. niedzielę 7 grudnia, zaplanowane były normalne loty patrolowe. Baterie dział przeciwlotniczych w rejonie bazy morskiej miały zmniejszoną obsługę, zaś większość marynarzy na 94 okrętach, zakotwiczonych w porcie, szykowało się do snu. Zapadała jeszcze jedna siewka tropikalna noc.

Agenci FBI, którzy z takim uporem śledzili wspomnianego dentystę, nie mieli nawet pojęcia o tym, że pewien urzędnik w japońskim konsulacie, Tadashi Morimura, był w rzeczywistości tajnym agentem o nazwisku Yoshikawa. Tej nocy pracował on do późnych godzin nad swym końcowym raportem. Przed paroma godzinami powiadomił już Tokio, iż jego zdaniem okręty w Pearl Harbor nie są zaopatrzone w siatki przeciwtorpedowe, a w rejonie portu nie ma balonów zaparowych.

Dwa zespoły okrętów wylonione z Grupy Uderzeniowej dla wykonania ataku na Pearl Harbor zbliżyły się do celu. Jeden z nich składał się z lotniskowców, natomiast drugi — z okrętów podwodnych. Jedenaście okrętów podwodnych płynęło ku Oahu. Dziewięć innych zgrupowało się już na południe od wyspy, a dwa dalsze podążały w kierunku Maui, aby zbadać czy w Lahaina są jakieś jednostki floty amerykańskiej. Dalszych 5 okrętów podwodnych, tworzących tzw. specjalny dywizjon uderzeniowy — wynurzyło się pod osłoną nocy i podpięło do Pearl Harbor, od południowego zachodu. Na każdym z nich znajdowała się miniaturowa 2-osobowa łódź podwodna, mogąca płynąć w zanurzeniu z wielką jak na ówczesne czasy prędkością — 20 węzłów. Zadaniem ludzi połączonych w szereg było niepostrzeżenie do portu i oczekiwaniu na rozpoczęcie ataku lotniczego, po czym miały się one wynurzyć i wyszleścić torpedy w kierunku niektórych z zakotwiczonych okrętów.

Tuż przed godziną 23.00 6 grudnia 1941 r., okręty podwodne zatrzymały się w odległości około 8 mil od Pearl Harbor. Rozpoczął się skomplikowany manewr spuszczenia na wodę miniaturowych łodzi. Marynarze japońscy widzieli jasno oświetlone wyrzeźby i neony na Waikiki Beach. Do ich uszu dobiegały również dźwięki jazzu. W ciągu kilku minut cztery łodzie spuszczone na wodę. W płatej odmówił postuszeństwa żyroskopas. Nie sposób było go naprawić, lecz 2-osobowa załoga nie chciała rezygnować ze swojej misji. Okręty podwodne zanurzyły się, a miniaturowe łodzie ruszyły z wolna w kierunku Pearl Harbor.

Główna siła uderzeniowa — „Kido Butai” — płynęła w międzyczasie z szybkością 24 węzłów, ku pozycji położonej w odległości 275 mil na północ od Pearl Harbor. Właśnie stamtąd miał się rozpocząć atak lotniczy. Załogi samolotów były gotowe o godz. 3.30 rano (7 grudnia czasu hawajskiego). Na godzinę przed świtem z dwóch ciężkich krążowników „Chikuma” i „Tone” katapultowano po dwa hydroplany. Dwa z nich skierowały się ku Lahaina, a dwa — ku Pearl Harbor. Zadaniem ich było dotarcie na miejsce na pół godziny przed rozpoczęciem ataku i przekazanie drogą ra-

diową informację o zachmurzeniu, szybkości i kierunkach wiatru, a co najważniejsze — o tym, czy Flota Pacyfiku znajduje się w porcie.

Na pokładach wszystkich sześciu japońskich lotniskowców pierwszy rzut samolotów oczekiwał na rozkaz do startu. Było jeszcze ciemno, gdy w powietrze wystartowała pierwsza fala samolotów, złożona z 49 ciężkich bombowców, 40 bombowców torpedowych, 51 bombowców nurkujących i 43 myśliwców osłony. Cała operacja została przeprowadzona w rekordowo krótkim czasie 15 minut. Niebawem o godz. 6.26 wzeszło słońce. Lot odbywał się na wysokości 3 tys. metrów. Niebo było czyste, a widoczność dobra.

W Pearl Harbor była godzina 6.30 rano. Zagrodowa sieć przeciwtorpedowa, przeciętna u wejścia do portu, została obniżona, aby umożliwić wypłynięcie okrętów warsztatowemu „Antares”. Jeden z marynarzy towarzyszącego mu niszczyciela „Ward” obserwował manewry „Antaresa”. Nagle zauważył niemal tuż za rufą wpływającego okrętu, co go przypomniało kształtem peryskop łodzi podwodnej. „Ward” natychmiast zbliżył się na odległość 100 jardów i oddał salwę z dział pokładowych, po czym zrzucił bomby głębinowe. O godzinie 6.51 z okrętu przekazano meldunek: „Zaatakowaliśmy przy pomocy dział i bomb głębinowych nieprzyjacielski okręt podwodny operujący w rejonie portu”.

Szef sztabu admirała Kimmela, kmdr John Earle otrzymał tę informację o godz. 7.13. Miał jednak poważne wątpliwości co do jej treści. „Było już tyle fałszywych meldunków w takich sprawach”.

Niemal w tym samym momencie do dowództwa dotarło inne ostrzeżenie, które również zostało zbagatelizowane. Informacja przekazana z punktu obserwacyjnego na północnym krańcu Oahu donosiła o zarejestrowaniu przez radar jakichś dużych, poruszających się obiektów. Oficer dyżurny w ośrodku dowodzenia uznał jednak, że informacja ta nie zasługuje na szczególną uwagę.

### ATAK

Pierwsze samoloty japońskie zbliżyły się do Oahu o godz. 7.48. Z samolotów amerykańskich znajdowały się w tym czasie w powietrzu jedynie obserwacyjne hydroplany. Było ich siedem. Wszystkie operowały w znacznej odległości na południowy zachód od Oahu. Nie była również w stanie gotowości bojowej obrona przeciwlotnicza tak na lądzie jak i na zakotwiczonych w porcie okrętach.

Dokładnie o 7.49 dowódca lotnictwa pierwszego rzutu, Fuchida, przekazał drogą radiową meldunek do „Kido Butai”: „Pierwsza fala przystąpiła do ataku”. O godz. 7.53 przekazał on wiceadmirałowi Nagamo kolejny meldunek: „Tora, Tora, Tora!” Słowo to, oznaczające „tygrys”, sygnalizowało, że udało się zaskoczyć nieprzyjaciela.

W ciągu kilkunastu minut instalacja wojskowa lotnisk w Kaneohe i Ford Island, jak również w Wheeler, Bellows oraz Hickam zostały sparaliżowane. Tylko nieliczne samoloty amerykańskie udało się na czas wystartować. W chwilę po eksplozjach pierwszych bomb, z wiatry kontrolnej w Pearl Harbor przekazano telefonicznie meldunek dla adm. Kimmela. O godz. 8 rano Kimmel przekazał drogą radiową wiadomość do Waszyngtonu dla adm. Harta oraz do wszystkich jednostek znajdujących się na morzu:

„Atak lotniczy na Pearl Harbor — powtarzam, atak prawdziwy, to nie są ówczesne”.

W tym momencie Pearl Harbor ogarnięty był już płomieniami i kłębam dymu. Niebawem nadleciała kolejna fala 170 samolotów japońskich, która doznała części zniszczenia. Około godz. 10 było już po wszystkim. „Pancerniki „Arizona”, „Oklahoma” i „California” były zatopione. „West Virginia” stała w płomieniach, a „Nevada” szła już pod wodę. Trzy pozostałe okręty liniowe: „Maryland”, „Tennessee” i „Pensylwania” były poważnie uszkodzone. Jeszcze o zmroku nad portem wciąż unosiły się kłęby dymu z zderzonej floty.

W Waszyngtonie było wówczas wczesne popołudnie. Sekretarz marynarki Knox znajdował się w swym biurze przy Constitution Avenue. W pewnym momencie do jego gabinetu wszedł admirał Stark przynosząc wiadomość o japońskim ataku. Knox nie mógł w to uwierzyć:

— Mój Boże, to chyba niemożliwe! — wykrzyknął z przerażeniem w głosie.

W chwilę później połączył się telefonicznie z Białym Domem. Była godzina 13.47. Tego samego wieczoru w Sali Purpurowej Białego Domu Roosevelt przyjął członków swego gabinetu. Przedstawiając straty poniesione w wyniku japońskiego ataku na Pearl Harbor prezydent powiedział:

— Jest to najbardziej doniosłe posiedzenie rządu od czasu wojny domowej.

Po czym odczytał tekst orędzia, jakie zamierzał następnego dnia przekazać Kongresowi.

## ZAGROŻENIE

# „OPERATION POPEYE”

Koszarne dokumenty! Trzęsienia ziemi, które obracają miasta w przynę, gwałtowne przypyły morza, które zatapiają wybrzeża, cyklony, które puszcza całe polacie krańców. Odwieczny lek człowieka przed gniewem natury, wzbudzany — niestety — przez samego człowieka w jego dążeniu do osiągnięcia zamierzonych celów militarnych...

Na konferencji w Genewie, we wrześniu tego roku, dzięki inicjatywie Związku Radzieckiego przyjęto projekt porozumienia, które stawia poza nawiasem prawa „wojne meteorologiczne i geofizyczne”, to znaczy „posługujące się dla celów militarnych lub wojennych, specjalnymi technikami, mogącymi wpływać na zmianę środowiska naturalnego”. Postanowiono, by projekt tego porozumienia stanął na porządku dziennym Zgromadzenia Ogólnego ONZ.

I tak oto dowiedział się świat o negocjacjach dyplomatycznych, z których wynika, iż to, co dziś jeszcze uważamy za fantazję naukową, weszło już, przynajmniej częściowo, do arsenału wojennego. Szerzą inicjatywy, zmierzające do połączenia kresu wszelkim eksperymentom w doskonałości broni masowej — zagłady podejmuje niestanie i od wielu lat Związek Radziecki. Pożądają na niejednokrotnie karygodne praktyki Pentagonu na Półwyspie Indochińskim, a przede wszystkim w Wietnamie, gdzie amerykańskie jednostki specjalne prowadziły na szeroką skalę próby wykorzystania dla celów militarnych różnych komponentów wojny meteorologicznej. Dzięki pokojowej polityce ZSRR, i innych krajów obozu socjalistycznego, ukierunkowanej na umocnienie bezpieczeństwa międzynarodowego, wiele „groźnych poczyną” militarnych wypraw kół Zachodu udało się pohamować. Większość spośród tych zamysłów wzbudza zrozumiałe niepokój światowej opinii publicznej.

Interesujący materiał na ten temat zamieścił „Paris Match”.

### Gwałtowne przypyły morza sztucznie wywoływane

„Pentagon Papers” — te tajne rewelacje dotyczące amerykańskiej polityki w Wietnamie — ujrzały dziś światło dzienne. Dokumenty te świadczą, iż amerykańska wojna meteorologiczna w Wietnamie rozpoczęła się od opadania liści z drzew i sztucznie wywołanych opadów deszczu. Ale to zaledwie pierwszy krok na drodze do o wiele bardziej przerażającej wojny geofizycznej. Inaczej mówiąc, jest to „umiejscowienie opadów, zmiany i precyzyjnego przewidywania zjawisk przyrody, przydatna do stworzenia niebezpiecznej sytuacji dla przeciwnika w konflikcie zbrojnym”.

Komisja specjalistów Senatu Stanów Zjednoczonych, pragnąc dowiedzieć się o tym wszystkim czego więcej, zasięgnęła opinii ekspertów i ludzi odpowiedzialnych za programy amerykańskich badań naukowych w tej dziedzinie. Wielkie wrażenie wywarło złożone przed komisją obszernie oświadczenie byłego doradcy naukowego prezydenta Johnsona, prof. MacDonalda, wicedyrektora Instytutu Geofizyki i Fizyki Planetarnej Uniwersytetu Kalifornijskiego.

Co powiedział prof. MacDonald? Że „w bliźszej lub dalszej przyszłości władza, jaką rozporządza człowiek w dziedzinie manipulowania środowiskiem, włoży mu do ręki broń zdolną do uczynienia wiele zła i cierpienia. Broń ta nadaje się doskonale do dyskretnego użycia, a nawet do ściśle tajnego”.

Klucz do wojny geofizycznej — wyjaśnia profesor — spoczywa w nieslabności elementów środowiskowych, co powoduje, iż dodanie małej ilości energii wystarcza często do wywołania energii nieskończenie większej. Profesor wyjaśnia dalej: gwałtowne przypyły morza, bądź to wskutek większych wstrząsów sejsmicznych, bądź też wskutek wyzwolenia energii grawimetrycznej, spowodowanego przesunięciami dużych mas osadów i skał tworzących obrzeża platformy kontynentalnej. To przesunięcie osadów i skał może być wynikiem małych wstrząsów sejsmicznych.

Opły ten drugi rodzaj gwałtownego przypyły morza może być także wywołany sztucznie przez serię podmorskich eksplozji nuklearnych, odpowiednio przeprowadzonych...

### Wywołanie trzęsienia ziemi

Trzęsienia ziemi można wywołać nagle rozładowaniem napiętej osrodką, nagromadzonej w skorupie ziemskiej, rozładowanej słabiej stosunkowo energii w jednym z uskawków, które tworzą sejsmiczną strefę dookolapacyficzną, odegrałoby rolę pośredniego de-

tonatora do rozładowania energii nagromadzonej w większym pasie sejsmicznym. Otóż, dzięki dobrej znajomości rozkładu napiężeń w sejsmicznej strefie okolopacyficznej można by się pokusić — dokonując odpowiednich eksplozji nuklearnych na Morzu Chińskim czy w Basenie Filipińskim — o wywołanie katastrofalnego wstrząsu wzdłuż uskoku w skupie ziemskiej San Andreas, który przechodzi w rejonie San Francisco i Los Angeles.

### Rozszerzenie czapy polarnej

Wojna klimatyczna... Rozładowanie odpowiedniej ilości energii na pokrywie polarnej spowodowałoby, wskutek zesłizgania się, potężne obwodowe rozszerzenie masy lodowych, które przez Biegun Północny schodziłyby na południe. A zatem zjawisko, które by można porównać z początkiem okresów wielkich zlodowaceń planetarnych. Wywołanie takiego zjawiska sztucznie jest teraz możliwe przy użyciu energii nuklearnej.

Zdaniem prof. MacDonalda, nastąpiłyby wówczas „nowy okres lodowcowy w Europie i Ameryce Północnej, któremu by towarzyszyły straszliwe przypyły i pęknięcie gigantycznych bloków lodowcowych”. Kto skorzystałby na tej zbrodni? Odpowiedź prof. MacDonalda: „Kraj równikowy bez dostępu do morza”. Reszta świata weszłaby w okres lodowcowy, ale strefy tropikalne korzystałyby odtańd z dobrodziejstw klimatu umiarkowanego.

Ale to jeszcze nie wszystko. Ten bojowy fynsytunek — wojny klimatycznej — zawiera jeszcze inne możliwości: wywoływanie deszczów lub susz. Na przykład zasiewy ciagnące się powyżej długiej strefy klimatu suchego, można by pobawić deszczów w pasie o szerokości 1500 kilometrów.

### Odwracanie tropikalnych huraganów

Czy można manewrować tropikalnym cyklonem? Pewien profesor uniwersytetu w Mexico, oskarżył publicznie Stany Zjednoczone, że skierowały cyklon — który miał się zwałić na zapełnione plażę Florydy — na terytoria innych krajów. Chodzi tu o tajfun „Gertruda”, który spowodował w Gwatemali śmierć sześciu tysięcy osób. Stany Zjednoczone zdementowały to oskarżenie bardzo energicznie. Wydały się, że istnieć nie miało to miejsca, chociaż eksperymenty „siania” huraganów były przeprowadzane. Jednakże postępy w technologii pozwalają, prawdopodobnie już w niedalekiej przyszłości, na zwiększenie furii cyklonów, kierowanie ich ruchem i w konsekwencji — na włączenie cyklonów do arsenału broni terrorystycznej przeciwko lepszej części świata.

### Zmiany kierunku prądów morskich

Przewiduje się — przynajmniej teoretycznie — możliwość zmieniania biegu prądów morskich. Na przykład zamknięcie Cieśniny Beringa pociągnęłoby za sobą daleko idące zmiany klimatyczne we wszystkich nadbrzeżnych krajach Pacyfiku. Profesor MacDonald przyznaje zresztą, iż „konsekwencje tego mogłyby być tak nieprzewidywalne, że jest nie do pomyślenia, żeby jakkolwiek cywilizowany naród zdecydował się jednostronnie na realizację takiego projektu”.

A jednak... Badania rządu kanadyjskiego w tej dziedzinie wymieniają ostatnio bodaj dziewiętnaście technik zmiany środowiska naturalnego dla celów militarnych.

„O świcie, 30 marca 1967 roku, z jednej z baz amerykańskiego lotnictwa w Syriamie, wystartował w najbliższej tajemnicy transportowy samolot WC 130 Air Force. Zakodowana nazwa tej tajnej misji brzmiała: „Operation Popeye”. Rząd syjamski nie został o niej poinformowany. Zaledwie garstka ludzi na świecie wie, iż pierwsza bitwa wojny meteorologicznej rozpoczęła się właśnie owego marcowego ranka 1967 roku, na wietnamskiej ziemi...”

Samolot dzwigał na pokładzie 101 „bomb deszczowych”. Amerykanie nazwali je „seeding units”, w tłumaczeniu: „siew ujednolicony”. Bomby, wypełnione kryształkami jodku srebra, zrzucono nad Laosem, na pewien rodzaj chmur. Spłynęły w przeciągu trzydziestu sześciu sekund, w czasie opadania z wysokości około 900 metrów. Cel operacji: zwiększenie opadów deszczu i tym samym utrudnianie jednostkom Vietcongu szybkich dystrykacji wojsk, zatopienie dróg w błocie, wywołanie powodzi, sparaliżowanie wszystkich rodzajów transportu kolejowego z rowerowym włącznie,

zatopienie brodów w wozbranych rękach, zagrożenie mostom...

Faza operacyjna trwała pięć lat. Na Półwyspie Indochińskim zrzucono przez ten czas 47 tysięcy „bomb deszczowych”, w toku 2602 operacji lotniczych. Koszt ogólny tego „programu” wzrastał każdego roku o około 4 miliony dolarów. Brała w nim udział ekipa składająca się z 1400 ludzi; załóg samolotów, dowództwa operacji, służby pomocniczej, wywiadowej itp. itd.

### „Otwieranie okien” w warstwie ozonu

„Otwieranie okien” w warstwie stratosferycznej ozonu, jest ostatnią — przynajmniej na razie — domena poszukiwań militarnych. Jak wiadomo, warstwa ozonu stratosferycznego warunkuje życie na Ziemi, absorbując większą część promieni ultrafioletowych wysyłanych przez Słońce. Warstwa ta może być lokalnie niszczona przez pewne związki chemiczne wydane przez rakietę. W ten sposób „otwarte okna” w warstwie ozonu, pozwalają na swobodne i niebezpieczne przedostawanie się promieniowania słonecznego na Ziemię. Konsekwencja: zaburzenia groźne dla życia człowieka, oparzenia czy raki skóry. A poza tym: lawiny i obsuwanie się ziemi, reaktywacja wygasłych wulkanów, nagłe wylądowania atmosferyczne, pożary, zmiany w składzie fizycznym, chemicznym i elektrycznym mórz i oceanów, i szereg innych katastrofalnych zjawisk — oto, do czego zmierzają dziś badania naukowe w krajach dążących do podboju świata, prowadzone w tajemnicy, mniej lub bardziej strzeżonej. Włos się jeży na głowie! Nawet jeśli wiążą z tych odkryć pozostać na zawsze w stadium rozważań teoretycznych.

Wyniki tych poszukiwań są dość przedmiotem ożywionej wymiany zdań. Jaka, na przykład, była skuteczność sztucznie wywołanych opadów deszczowych w Wietnamie? Około 30 procent sztucznych opadów atmosferycznych było uzależnione od aktualnych warunków atmosferycznych” — stwierdził ekspert odpowiedzialny za „Operację Popeye” i zainteresowany w uzasadnieniu dużego budżetu. Jednakże z obliczeń opadów atmosferycznych w strefie objętej „Operation Popeye” wynika, że procent ten jest zawyżony i że taka ilość sztucznie wywołanych opadów była rzadkością. Okazało się dalej, iż wynosiła ona średnio 5 cm ponad roczny opad równy 50 centymetrom. Pewien amerykański senator mógł więc zaptać, i nie bez racji, czy efektywność militarna, zwiększająca roczny opad deszczu z 50 na 55 centymetrów, usprawiedliwia wydatkowanie aż 20 milionów dolarów na tę operację wojkową?

Dwa lata temu Stany Zjednoczone dokonały silnej eksplozji nuklearnej na Wyspach Aleuckich, rozrzucając na wielkim rowie Pacyfiku. Uczelnia zwróciła uwagę Pentagonu na wielkie ryzyko wylotania — na zasadzie reakcji — silnego trzęsienia Ziemi. Jednakże bomba wybuchła. Nic nie drgnęło.

W pewnych środowiskach amerykańskich, oczekiwano z pewnością na ten wybuch w nadziei, iż będzie on zaprzeczeniem tez profesora MacDonalda. Istotnie, nie potwierdziła się prognoza profesora, ale przecież nie można zaprzeczyć na pewno, że teoretycznie ciężkie trzęsienia Ziemi we Włoszech, w Chinach, i, ostatnio, nowa fala wstrząsów w wielu jeszcze innych miejscach kuli ziemskiej, nie zostały wywołane właśnie wybuchem amerykańskiej bomby nuklearnej na Aleutach. Wszak leżą one w strefie sejsmicznej Ziemi... Czy wybuch ten nie mógł wywołać powolnej reakcji sejsmicznej, aż do wybuchu, tj. do trzęsienia Ziemi?

Na świecie istnieją dziś dwie szkoły, które reprezentują odmienne punkty widzenia na wojnę geofizyczną: pierwsza uważa, że wojna geofizyczna, czy meteorologiczna, pozostała bardzo szeroka domena spekulacji intelektualnych oraz druga, która wyraża zaniepokojenie, iż technologia ta nie zrobi zbyt szybkich postępów. W sumie — optymiści przewidują pesymistom. Ale oto jedyny jasny punkt na tym ponurym horyzoncie: przed komisją ekspert stwierdził przed komisją amerykańską, że „operacja zmierzająca do próby zachwiania osi Ziemi, z intencją zmiany dotychczasowego układu sfer klimatycznych, jest niewykonalna...”

W. ST.

RYSZARD BINKOWSKI

# ROZBÓJNICE

Krycha z Zuza noc z 21 na 22 sierpnia bieżącego roku spędzały w kajucie o wymiarach 3x3 m, zajmowanej dorywczo przez Zuze. Dorywczo, albowiem Zuza, dzielnia z numerem startowym 1924, periodycznie skubała osobników płci obojga, za co przechodziła na państwowy wikt, czyli, jak pisał w kryminałach, bywała zapudlowana. W 1961 r. buchnęła dwie chustki nylonowe i zegarek, w 1969 r. — tylko słówkę i zegarek; w trzy lata później zasunęła pijanemu kochalowskiemu zegarek, w 1974 roku zaś wyciągnęła z kochliwego faceta złotych polskich 1750 razem z portfelem. Jak wynika ze statystyki lubowała się w cykotach zaprzutych gości. Czasu miała na te numery skolko угодно, albowiem była bezdzietna mężatka, od której chłop wyrunął osiem lat temu na Wybrzeże, zostawiając ją w biedzie, bez zawodu, z podstawówka, lecz nie pracującą.

Jej kumpelka Krycha, kolumbówka rocznik 27, rozwiedziona, matka jednego dorosłego dziecka w wieku 35 lat, posiadała wykształcenie podstawowe niepełne, bez zawodu, toteż pracowała ostatnio jako sprzątaczką w zakładzie wychowawczym, gdzie prowadziła wredną działalność pedagogiczną. Wredna, ale nie taka znów podła, bo przelechała się mocniej ieno dwa razy w życiu: w 1963 roku obraziła milicjanta podczas jego nieobecności, lecz przy świadkach, a w 1966 roku dokonała drobnej kradzieży ciuchów i teckiz.

Koleżany trawili noc o suchym grzdyłu, oczekując propozycji, ale amatorów ani na lekarstwo, czemu nie należy się dziwić: metryki świadczyły o zrupieciałym warsztacie.

Ale ranną porą przybył z miasta Łódź Kitulek, nowy przyjaciel Zuzy, który miał się z nią związać na stałe. Był to mężczyzna pięćdziesięcioletni, człowiek spokojny, z zawodu murarz, od osmiu lat żyjący w separacji z żoną i dwójkiem dzieci no i nie pracujący, bo mu przeszkadzało wykształcenie podstawowe niepełne.

— Zuza, w co ty mnie wkrecasz? — rzucił zdeprymowany, mierząc niechętnym okiem Kryche. — Z dwiema na raz nie wyrobie.

— Oeh, ty miglancu — rzuciła mu się w stylu retro w ramiona — nie dam cię nikomu! Ale ty dasz, suszę mamę latoś paskudną — młasciła sztywnym i zbiełałym językiem wedle ucha kochanka.

Na to wzruszony Kitulek wyjął słówkę i dał. Zuza schowała, wyprowadziła na podwórko Kryche i zamknęła w kiblu, żeby w czasie zakupów nie doszło do jakiegoś sexparty, po czym udala się do pobliskiej ekuierni, gdzie nabyła dwa błota w cenie 39 zł fiacha.

Wróciła, uwolniła kumpelę, wypili: błoto śladło na dnie pustych frawleńców, skoczyło do mózgu i zaraz był eug, przeto dla zapobieżenia czynów nierządnych po kolejną butelkę została wysłana Krycha.

— Nazywam się Jan P., jestem rencista i inwalida, lewa noga i palec prawej stopy amputowane, nie mogę się bronić, w związku z czym dnia 22 sierpnia 1976 roku w godzinach południowych przy użyciu gwałtu polegającego na biciu i kopaniu no całych ciele, wykrecając mi rak i duszenie, zostałem doprowadzony do stanu nieprzytomności i bezbronności, w wyniku czego pozabawiłem się sześciuset złotych zegarka marki „Poliot” i długopisu o łącznej wartości 3.225 zł.

Zaczęło się niewinnie, zebrało mi się miłanowiec na słodkość, przeto udałem się do cukierni, ale była zamknięta. Ruszyłem ulicą, spotkałem znajomego, pogadałm o pogodzie i poszedłem dalej. I wtedy spotkałem znaną mi Kryche, jako że była w koleżanki która mieszka w tym samym domu, co moja kuzynka Jaska. Krycha zapytała gdzie idę, a ja, że do kuzynki. Na to ona, że u Zuzy doła, trzaskała butelką i pognąła, żeby tamtym spragnionym podrzucić szybką paliwo.

Ja siedziałem wolno, Dotarłem do tego domu, zastukałem do drzwi, kuzynki, ale nikt się nie odzywał. Wtedy z drzwi mieszkanka Zuzy wyłaziła Krycha i powiedziała, że kuzynki nie ma i że mam wejść do nich. Wszedłem, oprócz Zuzy był tam nieznan mi starszy facet, zwany Kitulkim. Zuza częstowała mnie winem, ale ja powiedziałem że wino mi szkodzi; wzięłem z kieszeni siedemset złotych, jedną słówkę dałem Zuzie, oznajmiając, że ma za to kupić pół litra. Ona wzięła forsy i przyniosła butelkę. Piłmym, ja siorbnałem jakieś sto pięćdziesiąt gram, doprawilem winem, tak z pół szklanki i miałem dosyć. Wstałem, ale Zuza wrzasnęła, że mam siedzieć na dupie, jak mi dobrze i rozkazała abym dał jeszcze słówkę na gorzałkę. Odparłem, że co, ja forsy zbieram na ulicy? Zuza zełżała się, krzeczwała, że wtrzącham jej pomidory, śliwki i chleb z maseł na zagryche, nazwała mnie skurwysynem, rewoltowcem jak nie dasz na wódkę, daria się, to wszystko oddasz. Pchnęła mnie, przewróciłem się na łóżko: Kitulek strzełił mi dwa razy w głowę, Zuza w nos, zalałem się krwią; Kitulek wykreślił mi rece, Zuza dusiła mnie i zakrywała dionia usta, żeby mi nie krzyczał; obracali mnie na boki, a Krycha przeskakiwała kieszenie. Potem Kitulek usiadł i tylko patrzył, a ta rozbójnica Zuza zerwała mi zegarek; rzucił mnie na podłogę i zaczęły kopać. Wtedy Kitulek warknął żeby przestały, bo mam dosyć. Skorzystałem z okazji i ucieklem na podwórko. Następnie udałem się na Komendę i wróciłem z milicjantami; Zuza zaraz oddała zegarek, miał naderwany pasek, lecz pieniądze i długopisu nie odzyskałem...

Na tym owa historia, w której drgają nutki wesołe dla osób postronnych, a dla inwalidów tylko boleś i smutek, nie kończy się. Pozostaje interpretacja wydarzeń przez trójkę rozbójniców.

Otóż znany już Kitulek zapołał, iż on po wódecie udał się na browar. Jak wychodził to Jan P. leżał cały i zdrowy, lecz okrutnie pijany i bełkotliwy. A jak wrócił Kitulek z piwa to Jan P. siedział na lawce w podwórku ze skrawionym obliczem. Spytał go, co się stało, Jan P. odrzekł, że go baby wzięły pod obcas i sfekowały. Kitulek wszedł do mieszkania i zapytał groźnie, co tu było, a te rozbójnice odparły, że nie...

Krycha natomiast oświadczyła, że jak P. chciał wyjść, to go Zuza trzaskała no łóżko dalej Krycha nie nie pamięta, bo była schłana i nie rabowała... Zuza zachowała się godnie i inteligentnie. Ona, mówi, że 10 sierpnia 1973 roku wróciła z zakładu po 13 miesiącach odsiadki, podjęła pracę w „Żarówe”, ma dwa czterysta, na życie starcza, to po co ma świadczyć chłopom usługi albo odwałał jakiś wariackie cvrki? A Jan P. urzyłał z pół litrem, po tej dawce dał nowa słówkę, ona poszła do potajemki u Pitulicy, kupiła i spili, Jan P. rzekł wtedy, że zdaboby się jeszcze, ale nie ma szmalu. Zdał zegarek i powiedział, że Zuza ma nabyć kolejne pół hasa. Zuza tłumaczy że Pitulica za cykota gołdy nie popuści, ale sasiadka Bzpekowa może dać za cykot słówkę. Zuza wtedy do Pitulicy itd. Jan P. wyraził zgodę na te kombinacje. Ale zaraz podszedł do Krychy i, nie wiadomo za co, lu! ja w mazak, widać mieli jakieś porachunki.

— Czego bijesz Kryche? — podskoczyła Zuza. Na to Jan P. miał odpowiedzieć, żeby się k... odp..., bo nie jej zasrany interes. Zuza się wnerwiła i dała mu w dziób, aż chlusła farba. Wtedy on ja za kudy, ale podcierała Krycha i reka przejechała mu no licach leciutko. A Kitulek siedział na krzeselku jak malowana łupa. Nieszczęsne kobiety uciekły na podwórko zamknęły się w ubikacji i dopiero, kiedy Jan P. opuścił posesję, wróciły do mieszkania.

— Jak się bilam z Janem P. — zapołała w finale Zuza — zegarek leżał na nocej szafce. Gdy emu stuk, stuk do drzwi, wsadziłam go pod poduszkę, żeby Krycha nie ukradła. A Jana P. nikt nie obrabował. On tak wrednie truje, ponieważ ma do mnie żal. Bo ja utrzymuję z nim kontakty płciowe, ale ostatni stosunek mieliśmy dawno, drugiego lutego...

Takie oto gorzkie są owoce emancypacji i równouprawnienia; kiedyś dzielne sufrażystki były na alarm, dzisiaj jako rozbójnice walą chłopów po mordzie.

Grunt to zdrowie! Kupić można sobie, na dobrą sprawę, wszystko — bilet tramwajowy, bułkę, w pewnych sprzyjających okolicznościach posadę, a nawet żonę czy papier toaletowy, zdrowia jednak kupić się nie da. Wielkie to doprawdy szczęście, że od wieków wykazujemy godną podziwu żywotność i kondycję.

Długosz, sławny nasz dziejopis, a i plotkarz tegi, zachwycał się zdrowiem Polaków. Żył sobie — jak powiada — we wsi Pisary rycerz Piotr Ryterski herbu Topór. W roku 1401 walczył dzielnie w szeregach Wielkiego Księcia Litewskiego i dorobił się ciężkiej rany pod Dźwińskiem. Grot wraży włożył ukwiał mu w brzuchu tak głęboko, że ówczesni lekarze w żaden sposób nie mogli mu tego żelastwa usunąć. Po trzech latach zdrowy, samarśkiej organizm wydalil spokojnie ostrze przez plecie. Rycerz żył długo i szczęśliwie aż do bitwy pod Grunwaldem.

Miło zauważyć że narodowa kondycja trwał. Nie tak dawno temu, w poznańskim szpitalu klinicznym, wydobyto pacjentowi z żołądka zapalniczkę z pełnym zbiornikiem, co stawia pod znakiem zapytania kryzys paliwowy. A do tego jeszcze szczyrzył i średniej wielkości gwóźdź. Pacjent poczuł się od razu bardzo dobrze, prawie jak przed operacją.

Znakomitym zdrowiem cieszyli się zwłaszcza żołnierze. Karol książę Radziwiłł był kiedyś laskaw opowiedzieć towarzyszący libacji taką przysięgę: „Albo czyż nie było cudowne zdarzenie, panie kochanku, kiedy raz prowadząc szwadron huzarów do ataku, zo stałem ugodzony kulą armatnią tak nieszczerliwie, że na dwie połowy mnie rozdarła?”

WIESŁAW JAŹDŻYŃSKI

# STARE GRZECHY W NOWEJ SZCZĄCE

Widząc jednak powątpiewanie na twarzach słuchaczy, zwrócił się do swego ukochanego faworyta, Borowskiemu: — Wszak to pamiętasz, Borusiu?

— Nie, nie pamiętam, mości książę, bo właśnie wtedy byłem już zabity.

Obaj towarzysze frontowych dróg, książę i jego służa, zostali po śmierci długie lata w dobrym zdrowiu. Nie inaczej i dzisiaj ze zdrowiem żołnierzy. Ordynator Oddziału Laryngologicznego Szpitala Wojewódzkiego w Opolu posiada bogatą kolekcję przedmiotów, wyciągniętych pacjentom z nosów, uszu i gardła. Wśród zbiorów można znaleźć nakretkę śruby czolowej — rozmiar 24. Dodajmy — duży rozmiar, zdradzając dla prawdy tajemnicę wojskową. Skąd ta śruba? Otóż zdarzyło się, że w warsztacie zabolat żołnierza zab. Bywa tak. Żołnierz przyłożył sobie do zęba nakretkę — rozmiar 24 i trzymał, póki nie nadszedł szef. Śruba wpadła żołnierzowi do przelicy, z przejęcia ma się rozumieć, i utkwiła na dobre. Lekarz nie chciał uwierzyć w polykanię mięlna państwowego, jeszcze mniej wierzył w rozmiar 24, no bo żołnierz z taką śrubą w gardle to nieboszczyk bardziej serio niż dowódca dragonów Radziwiłł. Ale po prześwietleniu odesłał żołnierza ciapaszem do Szpitala Wojewódzkiego, gdzie wydobyto śrubę specjalnie skonstruowanym ad hoc hacikiem. Żołnierz zdrowsi jak ryba, tyle tylko, że musiał pójść do dentysty, co niektórym uznają za gorzkie od wojny, a w warsztacie spisano na straty śrubę — rozmiar 24.

Zdrowie dopisuje więc nam i dzisiaj.

## DIABEL W SPÓŁDZIELNI

Natomiast z diabłami radzimy sobie znacznie lepiej od przodków. Jest to z pewnością sprawa skuteczniejszych egzorcyzmów, w związku z dynamicznym rozwojem techniki.

Powiadają stare kroniki Długosza, że jednego z biskupów krakowskich znalazono pod łóżkiem kobiety znanej z lekkich obyczajów. Dużo wody upłynęło w Wilnie, nim podczas mnóstwa narad, egzekutyw, kursokonferencji i lokalnych synodów ustalono, że to diabeł przybrał postać niewinnego pasterza, aby go skompromitować. Cieszyć może to, że obecność diabła stwierdzono jednomyślnie, nawet wstrzymujących się ponoć nie było, a to dzisiaj w dużej cenie. Ale smuci długie ustalanie stanu faktycznego, dzisiaj już nie spotykane.

Niedawno pojawił się w gminie Wolin diabeł, który straszyl kierownika kuchni w jednej z gospód gminnej spółdzielni „Samopomoc Chlopska”. Biedak biegał z nożem masarskim w ręku po kuchni, a zwłaszcza magazynie, i usiłował daremnie zabić diabła. Zjechała matychniał komisja remanentowa, dokonała niezbędnych egzorcyzmów i diabeł znikł. Pozostał natomiast duży brak towarów w magazynie gospody i średniej wielkości wyrok. Ale to już ludzkie sprawy, prawda?

Najdłuższe zdanie w języku polskim skiecił — jeśli wierzyć Tuwimowi — sławny illo tempore Jacek Przybylski (1756—1819), niestety, tłumacz Homera, Horacego, Wergiliusza, a nawet Woltera. Znał więc sporo języków oprócz ojczystego. A teraz proszę zapoznać się z jego tasieciem:

„Powabiony do tłumaczeń z posiadanych języków, zwłaszcza greckiego i łacińskiego, przez niezmiernie upodobanie w Mowię Macierzystej, a wsparty jedynie wolnością w szybowaniu myśl i wyrażać ograniczoną wprawdzie, lecz ułatwiająca, której tak używali Starodawni Poeeci w stosunku do swojej Poczci miarowej, jak jej używają Nowocześni w stosunku do swej rymowej, a której miał prawo szczególnie użyć jako przekładający na język dziś kwitujący przecudnie Wiersze Starożytnego

głosów na czołowe tematy dnia za pośrednictwem amplitud fal Hertza. Dziennikarz rozmawia z modną akurat pracownica rolna. Pytanie: — „Na czym koncentrujecie się teraz na waszym gospodarstwie w świetle wytycznych?”

— „W świetle wytycznych koncentrujemy się na zagadnieniach higieny oraz racjonalnego normowania preeliminowania pasz. Efektywność tego systemu przejawia się w progresywnej i dynamicznej wydajności mleka z krów i intensyfikacji jego składników tłuszczowych. Pozdrawiam obywatela dyrektora z rodziną”.

## BIADA STUDENTOM

Skromni, jak to u nas bywało, starzy Polacy opowiedzieli sobie kiedyś przy kielichu trzy fragmenty ze swoich ankiety personalnych.

— Mój przeszczer ukrywał się z Łokietkiem w grotach Ojcow.

— A ja płacę do dziś procenty od pożyczki, którą zaciągnął mój pradziad, gdy z Trzema Królami wybierali się do Betelem.

— Byłem właśnie w polu, pracy kmioków doglądać i nagle ukazała mi się, panowie bracia, Madonna w złotej aureoli. Padam na kolana, rzucam czapkę na ziemię i słyszę cudowny głos, po polsku: Włóż czapkę, kuzynie!

W Komisji Nadzorczej zasiadał nie tak dawno temu pewien również skromny były prezes Rzemieślniczej Spółdzielni Zoapatrzania i Zbytu w województwie kieleckim. Zdarzyło się kiedyś, że kontrolował spółdzielnię, w

## KUZYN... MADONNY

której wcześniej przesował. Po kontroli oświadczył podczas posiedzenia komisji: — Za mojego pontyfikatu w spółdzielni działało się znacznie lepiej!”

Można więc przypuszczać, że jest późnym wnukiem kuzyna Madonny.

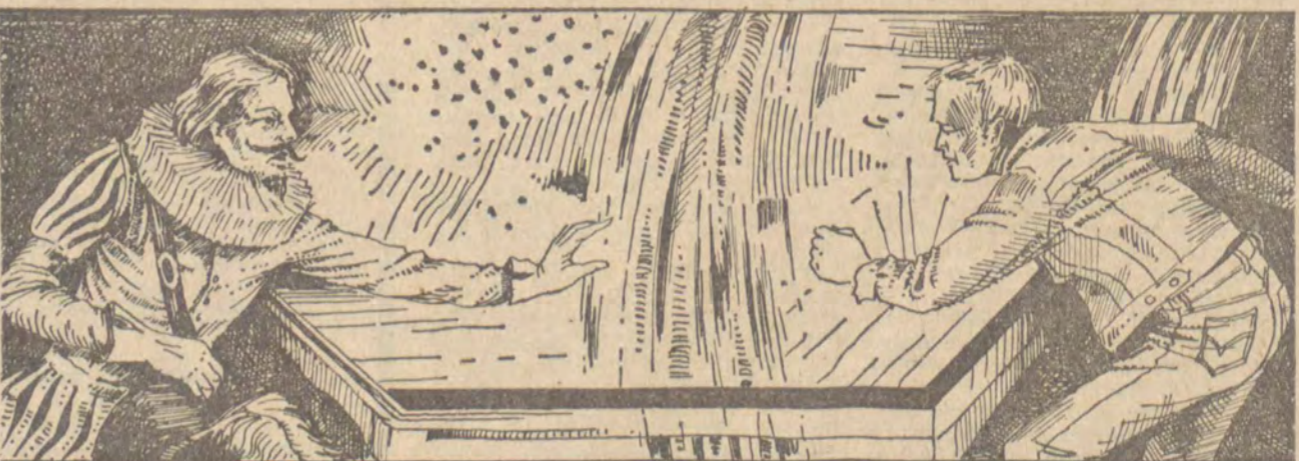
## HAZARDZISCI

Tak więc stare grzechy zmieniają ubrania, ale pozostają, niekiedy zaś przyjmują pozornie inną postać. Za czasów Marysieńki Sobieskiej książę Karol Stanisław Radziwiłł wygrał na królewskich pokojach 14 tys. bitych talarów od brata królowej, Józefa Potocki wygrał w roku 1912 2 miliony koron od oficera huzarów węgierskich i przeznaczył je na rozwój Krakowskiej Akademii Umiejętności.

Nie słychać, żeby któryś z naszych zwycięskich brzdystów czy pokerczystów przeznaczył wygraną na rozwój PAN. Mamy tu do czynienia z przekształceniem spuścizny po ojcach, bo tradycja trwa, jest kontynuowana. Polak współczesny porzuca grę na pieniądze, powiedzieć nawet można — nie szanuje ich. Swego czasu, bodaj dwa lata temu, prasa nasza informowała, że w ciągu roku wyczołuje się w Polsce z obiegu średnio 350 ton dokumentalnie zniszczonych biletów bankowych o łącznej wartości 18—20 miliardów złotych. Na ich miejsce produkuję się terminowo nowe, a koszt wynosi około 40 mln złotych. Najkrócej wytrzymały w naszych rękach 20- i 50-złotówki, raptem trzy kwartały. Nie tedy dziwnego, że przy takim niechętnym stosunku do waluty, rozwija się gra pod fant. Często stawkami bywała żony.

Prasa śląska podawała swojego czasu taką wiadomość: „Józef N. Z Nowego Bytomia, powróciwszy do domu rozszczęcony po długiej partii skata, powiedział żonie: od jutra będziecie rzec cały miesiąc sprzątać mieszkanie Ryszarda S. Ryszard S. był partnerem w grze, w której chodziło o taką właśnie stawkę, grał szczęśliwie i wygrał jednoniemiejczną pracę 28-letniej żony hazardzisty, pani Lidii”.

Pani Lidia sprzątać nie poszła, wszczęła natomiast sprawę rozwodową.



Rys. Janusz Szymański-Glane

## KRYMINAŁY

# Zabili go i uciekli

Dalszy ciąg ze str. 5

ę. Widzowi, jak i czytelnikowi czasem żal jest milicji, że tak bardzo każą się jej męczyć. Żal jest również, że na kartach książek, czy na ekranach nie pokazuje się nam starcia się dwu indywidualności, dwu rozumów, w którym to starciu zwycięża ten, służący sprawiedliwości.

Zupełnym wyjątkiem jest film Marka Piwońskiego „Przepraszam, czy tu biją?”, w którym milicja jest taka, jaką jest rzeczywistość i dzięki temu Marek Piwoński mógł pokazać kawał prawdy o milicyjnej walce z przestępcą. Byłabym wielce rada, gdyby film Marka Piwońskiego zwiastował jakis przełom w sposobie pokazywania i przestępcy, i milicji. Ale chyba próżna nadzieja, choć życie pewnie nieuchronnie zmusi autorów do odrzucenia starych schematów.

W Polsce nie mieliśmy tradycji prywatnych detektywów, choć może bywali i tacy przed wojną, ale jeśli nawet tak było, to nie odegrali oni w literaturze kryminalnej większej roli. Wprawdzie Antoni Marczyński stworzył zabawną postać prywatnego detektiva — Rafała Królika, ale to już odległa historia. Pisarze współcześni próbują czasem wprowadzać detektywów amatorów, ale są to postaci nieprzekonywujące, wiadomo bowiem, że nie posiadają żadnych wzorów ani prototypów. Jedynym znakomitym detektywem i pisarzem jednocześnie jest Joe Alex, tyle tylko, że ten przyjaciel Macieja Słomczyńskiego działa najczęściej w Anglii i w dodatku na kartach powieści utrzymanych w tradycji kryminalnej szarady.

Ten typ powieści kryminalnych, wyrosłych z piórami Artura Conan Doyle'a, które uprawiała również Agata Christie, wprowadziły do literatury znawiany i publikowany, a więc i cieszący się powodzeniem, naieży już do przeszłości. Jednakże autorzy tych książek traktowali czytelnika poważnie, dawali mu na kartach swoich książek wszystkie elementy potrzebne do rozwiązania zagadki, gmatwając je tak sprytnie, że przeważają „wystawiali go do wiatru”. Słowa bohatera powieści Agaty Christie — detektiva Hercule'a Poirot: — „Gram z wami fair. Możecie wziąć udział w wyścigu. Bawie się z wami. Macie wszelkie szanse, aby odkryć prawdę” — są najkrótszą wykładnią reguł tego piórami. Ale też Agata Christie uśmiechała Hercule'a Poirot już w latach 40-tych, kiedy napisała i schowała do szuflady powieść pod tytułem „Kurtyna”. Ten akt można poczytać za uświadomienie sobie anachronizmu, jakim stał się uprawiany przez nią gatunek powieści kryminalnej, choć nadal cieszy się on popularnością czytelników.

Odszedł też komisarz Maigret Georges Simenona, choć to był zupełnie inny gatunek powieści kryminalnej. Nadal zresztą cieszący się uznaniem, licznie przekładany, osiągnął wielkie nakłady w ZSRR, gdzie bohater tych powieści doczekał się wraz z autorem pracy doktorskiej. Nasi twórcy powieści kryminalnych nie dorobili się w tym czasie tak popularnej postaci detektiva, choć podejmowano takie próby. Nie udało się także naszym piórami stworzyć powieści, której rodowodem można byłoby się doszukiwać w amerykańskiej literaturze sensacyjnej. Myślę, że to niepowodzenia biorą się z lekceważącego i wstydliwego stosunku do tego, co robi się po kryjomu. Już samo założenie, że uprawia się literaturę gorszego gatunku, co może przynieść tylko pogardę krytyków, nie rokuję żadnych nadziei, że urodzi się z tego coś interesującego.

— „W obecnym dziesięcioleciu — stwierdził Ross Macdonald, amerykański autor znanych i u nas powieści kryminalnych — literatura detektywistyczna świetnie prosperuje. Traktują ją poważnie i pisarze i czytelnicy. Ja sam podchodzę do mojej pracy bardziej serio niż kiedyś”.

Amerkańska literatura sensacyjna znajduje się w znacznie lepszej sytuacji. Wprawdzie między realiami pracy prywatnego detektiva, który często jest tam bohaterem tego typu powieści, a tym, jak się tę pracę przedstawia w literaturze, istnieje poważny rozdźwięk, tym nie mniej utrzymuje się on nadal w literackim życiu.

„Prototyp prywatnego detektiva — utrzymuje Clifford D. May, zajmują-

cy się tym problemem — wyrósł z lat 20-tych, w okresie, nad którym zaciążyła atmosfera powojenna, rozczarowanie epoki postwiosnowskiej, hipokryzja i gangsterstwo epoki prohibicji, walki związków zawodowych o prawa i uznanie, często krwawe represje wobec robotników oraz korupcja ery Hardinga. W takiej atmosferze powstał bohater cyniczny, który wiedział, jak żyć w świecie przemocy i który — co najważniejsze — działał w pojedynkę i nie ufaj oficjalnym instytucjom prawa i władzy”.

W USA widać jest nadal społeczne zapotrzebowanie na tego typu bohatera, który jednak u nas budziłby opory i u czytelników i u autorów. Na literaturze amerykańskiej można się więc wzorować jedynie, jeśli chodzi o rzetelność i poważny stosunek do tego, co się robi. Dobre powieści kryminalne nie wyrosną z kompleksu niższości wobec całej reszty literatury.

Isaac Asimov — amerykański pisarz powieści fantastyczno-naukowych — już w 1958 roku napisał powieść kryminalną, której bohaterem był... robot. Zresztą powieść ta nosiła zmienny tytuł „Pozytronowy detektyw”, a jej akcja działa się w dalekiej przyszłości. Stanisław Lem wprawdzie nie napisał powieści kryminalnej, ale zarówno w „Śledztwie”, jak i w „Katarze” wprowadził matematyków, którzy pomogli w rozwiązaniu zagadki. Wprawdzie daje się wśród czytelników odczuć tęsknotę za wybitnie uzdolnionym detektywem, który by swoją mądrością pokonywał przestępców, ale nasi przestępcy nie grzeszą jakoś wielkimi walorami umysłowymi i boją się, czy taka walka rozumów mogłaby odbyć się na kartach książki.

„Zakres zbrodni polskiej zawęził się — mówił Jerzy Putrament w dyskusji o literaturze kryminalnej publikowanej na łamach „Literatury” — ale (...) mnie uderza nie ta zbrodnia, o której (...) dowiaduje się z powieści kryminalnej, lecz zbrodnia którą poznaję z pisma „W Służbie Narodu”. Przeraża mnie niesłychane chamstwo, głupota tych zbrodniarzy, prymitywizm”.

Wprawdzie jeszcze w Polsce nie wiadomo o zbrodniach dokonywanych przez komputery, ale — jak donoszą z USA, Japonii, Wielkiej Brytanii — coś takiego zaczyna się tam już dziać. Oto japońscy kidnaperzy kazali tamtejszej gwiazdzie filmowej wpłacić okup do godziny 12 następnego dnia, na podane konto komputerowego bankiera, zamierzając je podjąć u jednego z 3 tys. „automatycznych kasjerów” tuż po godzinie 12. Praktycznie nie było żadnej możliwości ich schwytania. Ale przeciw komputerowi, który księgowal wpływy i wypłaty, użyto komputera, który zaalarmował policję, kiedy w 12 minut po dwunastej kidnaperzy podejmowali pieniądze. Zostali wraz z nimi schwytani. W krajach tych działają specjaliści kontrolerzy, którzy niczym detektywi w programach różnych komputerów szukają zaprogramowanych szwindli, bo takie już tam zdarzają się nągminnie i przynoszą ich autorom — najczęściej programistom — kolosalne zyski. Jeden z takich kontrolerów Guy Parker zaproponował 6 brytyjskim towarzystwom bezpłatną kontrolę systemów komputerowych, zastrzegając, że kiedy coś wykryje, otrzyma 10 proc. sumy, jaka dzięki temu towarzystwo zaoszczędzi. Zarobił... 8 400 funtów.

— Ale to też nie dla nas. Nie wyobrażam sobie autora powieści kryminalnej, który odważyłby się zaprzeć do służby przestępczej komputer. Ani też stworzonych przez tych autorów milicjantów, którzy by sobie poradzili z tak przebiegłym i wykształconym złoczyńcą.

Czy sytuacja zatem jest bez wyjścia?

Nie. Jeśli do powieści kryminalnej podejść się poważnie, jeśli potraktuje się ją nie jak drugorzędna czy najgorsza literatura, to i na kartach książek kryminalnych może zdarzyć się wszystko. Mogą tam zagrozić też detektywi — milicjanci nie pozbawieni indywidualności i zdolni do trudnej walki z najgroźniejszymi i najbardziej przebiegłymi przestępcami. Takich książek żyć nam, czytelnikom kryminalów.

BOGDA MADEJ

## SATYRA

Był wczesny, grudniowy poranek, gdy redaktor L. delikatnie zapukał do moich drzwi.

— Mam pomysł, kolego — powiedział w progu — wybierzmy się na grzyby.

Na grzyby w grudniu? Miałem niestety wątpliwości, choć — obiektywnie trzeba przyznać — chyba nie bez powodu redaktor L. uchodził za człowieka zawsze dobrze poinformowanego.

Pojechaliśmy. Tuż przed rogatkami zaczął pozdrawiać nas wesółym machaniem szpaler dziarsko przystępujących ludzi. Redaktor L., nie zważając na ostre podmuchy grudniowego wiatru, równie wesoło im odmachiwał. Za miastem szpaler zrzedniał, ale redaktora L. nie już nie mogło wyprowadzić z dobrego humoru. Nawet moje nieśmiało wyjaśnienia, że mijany przed chwilą szpaler nie jest — wbrew temu, co przypuszcza redaktor L. — tłumem spontanicznie nas żegnających mieszkańców miasta, lecz, że są to przypadkowi urzędnicy - autostopowicze, dojeżdżający do pracy w pobliskim województwie.

Szosa wioda przez lasy. Przez szyby samochodu w skupieniu spoglądaliśmy na jodły osypane pierwszym śniegiem, na ciemne, pokryte mgłami jary, na wysokie sosny. Rwała się do nich dusza. Rwały się do niej nasze oczy i pluća. Nie raz już próbowałem zatrzymać samochód przed wyniosłymi świerkami, przed tą zielenią tak wspaniale kontrastującą z niewinną bielą śniegu. Ale redaktor L. był nieublagany. Wciąż pędziliśmy naprzód. W końcu natrafiliśmy na mały niepozorny laszek, z rzadka tylko porośnięty drzewami. Przytulony do boku wielkich borów był ten laszek wyzwaniem, niespodzianką. Wiał od niego tajemniczo.

— Tu będziemy szukali grzybów — powiedział redaktor L. — a na te słowa moje serce ścisnęło tajemne przecucie.

Wysiliśmy z samochodu. Redaktor L., stanąwszy pod krzaczkiem przeciągnął się szeroko, aż w kościach strzeliło, a po lesie echo poniosło. Nagle w tym echu usłyszeliśmy groźny, władczy głos:

— Stój!

Staliśmy. Tylko redaktor L. zamarli w owym rozkosznym przegięciu. Z dala dobiegło do nas pytanie:

MIROSLAW KUŹNIAK

# POLOWANIE

— Kto wy?

I jak tu odpowiedzieć na to pozornie proste pytanie. Gdyby redaktor L. mógł sięgnąć do kieszeni, wyciągnąć legitymację, sprawa byłaby wyjaśniona. Ale, czy można sięgnąć do kieszeni, gdy stoi się w tak rozkosznym przegięciu.

— Wy z kontroli? — padło po chwili milczenia.

— Nie, prywatnie, na grzyby — wyjął redaktor L. Sytuacja była, bądź co bądź, niezwykła.

— Ot, i trza było od razu tak mówić — z tymi słowami wynurzył się z krzaka leśniczy, dzierżąc w rękach dwururkę.

Leśniczy okazał się miłym człowiekiem.

— Zapalicie? — spytał po wymianie wstępnych uprzejmości.

— Zapalimy — odpowiedzieliśmy zgodnie.

— To i ja zapalę — z tymi słowami leśniczy wyciągnął z kieszeni sporta i zapalił. — Ot, i wy grzybów, znaczący się, szukacie — ni to stwierdził, ni to spytał. — A lasy wam się spodobały? He?

— O, bardzo — szybko zapewniliśmy. — Ta cisza, spokój i w ogóle.

— A ja wam mówię, kochaniutki — stwierdził leśniczy — że to jest smutny las.

No, obiektywnie rzecz biorąc las w grudniu nie może być wesoły. — Gdybyście przyjechali — dajmy na to — w sierpniu — kontynuował nasz miły gospodarz — to i las byłby wesoły. Jakże ja bym wam polowanie pokazał!

Polowanie?! O, tego nam było trzeba. Tu las, wiatr gnący korony drzew, mróz szczytączy podnoszący butów, a my zasluchani w opowieści starego leśniczego o polowaniach. Redaktor L. zawsze w porę wyczuwający nastrój, milczał taktownie.

— Tak i moi złoćciutki — mówił leśniczy — najlepsza pora na polowanie to wrzesień. Słuchajcie wy mnie, bo ja jestem stary praktyk, co to jeszcze od hrabiego Poniatyckiego dwururkę dostał za ubicie jelenia półtoraka. Trzeba usłyszeć głos trąbki, naszczekiwanie ogarów, gdy świeży trop schwyca, a i tę starą strzelbę co pali raz po raz, aby wiedzieć, co to jest polowanie — ostatnie słowa leśniczy wymówił z wielką mocą i, tak mi się zdawało, z malutką dozą goryczy.

— Tak, to byli dobre czasy — ciągnął leśniczy. — Ale i teraz nie jest źle. Wy tak patrzycie i myślicie: sennie tu, cicho jak u pana Boga za piecem. A ja wam powiem, że tu nie zawsze tak jest. Kiedyś bywało dziesięć lat temu nazad przyszedł tu, zachwycił mnie ta cisza, spodobały te polanki zalane słońcem i mech puszysty jak poducha. Aleć wście, ciągnie wilka do lasu, a człowieka — tfu, tfu — do starych wspomnień. Com wspomnieli hrabiego Poniatyckiego i jego polowania, to, za przeproszeniem, szlag mnie trafił i ciszy miałem dosyć. Doszło, proszę ja was, do tego, że przestałem do lasu zagładać i rewiry obchodzić. Ale jakiś pięć lat temu nazad odmieniło się u mnie. Któregoś dnia zatrzymał się przed moją chalupą autokar. Znaczący się wycieczka do mnie przyjechała, abym im grzyby pozwolił zbierać. Proszu bardzo. Zaprowadził ja ich w najgłębsze lasy, grzyby zbierać pozwolili. A pod wieczór butelki zebrał, w sklepie sprzedał i dalej w ciszę leśną nasłuchiwał.

Ta i w następną niedzielę przyjechali do mnie dwa autokary. Takoz na grzyby. Proszu bardzo. Znowu zaprowadził ja ich w najgłębsze lasy, grzyby pozwolili zbierać. I tak się, kochaniutki, zaczęło. Ta z pięciu fabryk zaczęli do mnie na grzyby przyjeżdżać. Z butelkami to ja już nie wiedział, co począć. W sklepie nie chcieli ich ode mnie kupować. Rozmnożyła się plaga grzybiarzy, że już ja zaczął ręce załamywać. Co robić? I wiecie, moi milcecy — opowiadał leśniczy — przypomniał ja sobie, czegom w szkole leśnej nauczył się bywawszy dawnymi czasy. A tam mnie mówili: jak zwierzyna rozmnoży się za bardzo odłów trzeba zrobić. At, i tak, któreś niedzieli zaczął ja się za krzaczkiem, strzelbę nabawiwszy, dwa ogary na pasku trzymawszy. Nim przyjechała wycieczka, byłem gotów. Ale wiecie, złoćciutki — tu leśniczy podniósł nieco głos — pierwszym przykazaniem myśliwego jest ostrzeżenie wpiersz szuki słabe, chore, co w stadzie zawadza. Zaczekał ja trochę czasu i dawszy ogarom do ponuchniania pustą butelkę, com ja znalazł za krzaczkiem. Dwunastu ze słabszej zwierzyny znalazłem. Ech, kochaniutki — westchnął leśniczy — gdybyście to widzieli. At, minęło tak pięć lat, jakom zaczął polować na grzybiarzy.

— Ale teraz. — Leśniczy z rezygnacją machnął ręką. — Teraz jest czas ochronny. Nie wolno polować na grzybiarzy. Pusto tu w lesie. Cicho. Ech, kochaniutki, dobrze, że przyjechaliście. Zapraszamy was w gościnę.

Gdy wieczorem wracaliśmy, redaktor L. śpiewał ochryplym głosem: „pojeździemy na łów, na łów, towarzyszu mój”.

## ŁATKI ADRESATKI

NA MICHAŁA KUNĘ  
PREZESA  
ŁÓDZKIEGO TOWARZYSTWA  
PRZYJACIÓŁ KSIĄŻKI

Kunę jak nazwać go ktoś mógł,  
Wiadomo, że on biały kruk.

NA DYREKTORA  
MUZEUM HISTORII  
MIASTA ŁODZI  
— ANTONIEGO SZRAMA

Odkąd wszedł na burżujskie sale,  
Nie zabyłki mu w głowie, lecz bale.

NA PLACU WOLNOŚCI

Naczelnik Kościuszek spogląda na  
nas z nieba:  
„To dobrze, że mniej dymu, lecz  
więcej ognia trzeba!”

Z HONOROWĄ ODZNAKĄ MIASTA

Aż w końcu doszło do kryzysu tego!  
Ze świecą szukali człowieka niehonorowego.

NA ŁÓDZKĄ TV

Poleciłbym tę planszę Łódzkiej Telewizji:  
„PRZEPRASZAMY ZA BRAK WIZJI”

NA EGZAMINY

Wyższe Teatrne Ciąła Pedagogiczne:  
„Precz śliczne!” „Zostaną małe i krzywiczne!”

NA GERARDA PUCIATE  
— FOTOREPORTERA

Pytało się pewne rezolutne dziecko:  
Czy Gerard to PUCIATO? „Tato.”

NA OGÓLNOPOLSKIE  
FESTIWALE POEZJI W ŁODZI

Tu poezji zjeżdżała śmietanka,  
Później poezji odciganie mleko,  
Aż już ostatnio sama maślanka.

NA POLSKI FILM

I tak się nam Film Polski doszczętnie  
wyrzywał:  
„Patrzą z ekranu wielkie piękne oczy  
Malanowicza”.

NA LKS TRYPTYKIEM

1  
Nawet sikora do sikory w lesie  
„A byłaś na ELKAESIE!”

2  
O, dniu radosny,  
Rycerze jesieni  
Rycerzami wiosny!

3  
ELKAESIE  
Niech Cie niesie!

NA RÓG FAŁSZUJĄCY  
W ORKIESTRZE FILHARMONII  
ŁÓDZKIEJ

Bo przekroczył świętej cierpliwości  
próg,  
Któryś w Filharmonii fałszujący róg.

MIECZYSLAW  
MICHAŁ SZARGAN

## LIST DO „PEGAZA”

Narzekalem niedawno, że w telewizji mamy festiwale jednego aktora, czy w ogóle jednej postaci, a potem następuje długa cisza. Ale — okazuje się — niezupełnie miałem rację.

Dawna spikerka, Elżbieta Smiarowska, pracuje w redakcji Publicystyki Kulturalnej i realizuje ciekawe audycje, nagrywa wywiady i współtworzy „Pegaza”. Najlepsza prezenterka polskiej TV, Irena Falska, wróciła znów do Dziennika, pojawił się również dawno niewidziany Krzysztof Teodor Toeplitz. Tylko Roman Szydłowski nadal mówi o tetrze parę razy w tygodniu.

Ale może jest w tych festiwalach i interwałach jakiś głębszy sens? Może to — jak w piosence Wojciecha Młynarskiego o Wiesławie Gołasie — trzeba odczekać jakiś czas od Wiesia, aby zrozumieć, że się go bardziej lubi, niż nam się wydawało niedys?

Bo właśnie pewnego wieczoru włączyliśmy telewizory i okazało się, że wrócił Wiesław Gołas. A tak go dawno w telewizji nie było — prawie dwa lata. Więc telewizja jest sprawiedliwa, przypomniawszy sobie b d awnych bożyszcach i od czasu do czasu dostrzegamy na szklanym ekranie dawną znajomą twarz. Więc — jak się rzekło — niezupełnie miałem rację.

Nieco gorzej, kiedy wracają stare dowcipy. Trzeci odcinek serialu „07 zgłoś się” reklamowany był przez realizatorów jako najlepszy z serii. Okazało się, że była to banalna historyjka z dwoma postaciami jazdy samochodem rajdowca Marka Variselli. A poza tym królowały w filmie dowcipy studenckie sprzed wielu lat, to znaczy z czasów, kiedy reż. Krzysztof Szmagier studiował w Szkole Filmowej w Łodzi.

„Kapusta”, czyli odzywka „ta noc taka pusta bez ciebie” i anegdota o profesorsze, który mówi studentom: „nie jesteście orłami nie wyfruniecie oknem”, na co student odparowuje profesorowi opuszczającemu salę: „a pan profesor też drzwiami” — mają rodowód stary i powtarzają je wszystkie roczniki.

Dzisiaj wobec powodzenia „Tredowatej” i wobec zaatakowania przez „Pegaz” tego filmu, wzywasz się zastanawiać, czy miałem rację pisząc dziesięć lat temu że o „Tredowatej”. No, bo skąd się bierze to fenomenalne zjawisko powodzenia książki Heleny Miszkówny? Przed wojną i po wojnie wiele było parodi i adaptacji tej książki. Sukces „Na ustach grzechu” Magdaleny Samozwaniec jest też potrośnie sukcesem „Tredowatej”.

„Tredowata” jest samograjem i adaptowano ją na scenę wówczas, gdy teatr chciał ratować kasę lub uszczęśliwić Polonię zagraniczną, co zresztą na jedno wychodzi. Przez całe lata powieść Heleny Miszkówny osiągnęła na giełdach cenę kilkuset złotych — bez względu, na to, czy był to dosłownie czytany egzemplarz czy oprawiony maszynopis. Numery „Kuriera Polskiego” kosztowały po dwadzieścia złotych w czasie, gdy ta gazeta drukowała w odcinkach „Tredowata”. Bodaż pięćdziesiąt tysięcy nakład powieści, wydanej parę lat temu, przez Wydawnictwo Literackie, wykupiony został w ciągu paru godzin.

I tak to się ciągnie od kilkudziesięciu lat. Zagadka „Tredowatej” wciąż powraca. Więc Jerzy Hoffman robi film, a krytycy z audycji „Pegaz” grmią z oburzenia. I tylko nikt nie wpadł na pomysł, aby powiedzieć sobie szczerze — jak harcerz harcerzowi — dlaczego owa legenda „Tredowatej” jest wciąż żywa.

ANI prof. Jackiewicz, ani Aleksander Jerzy Wiczorkowski nie powiedzieli tego, co w tej zagadce nie jest zagadką. Po prostu problem „tredowatej” jest wciąż problemem żywym. Zmieniają się środowiska, klasy, scenografia i kostium historyczny, ale „tredowaci” wciąż są. Miernota jest „tredowata” w środowisku zdolnych, zdolny jest „tredowaty” w środowisku miernot. Pewno, że ludzie nie są „tredowaci” z racji urodzenia, a na pewno nie w takim stopniu, jak niedys. Ale są „tredowaci” z najróżniejszych powodów i łączy ich jedno — poczucie osamotnienia. I chyba dlatego ludzie tak chętnie idą na „Tredowata”, mimo historycznego kostiumu, mimo anachronizmu motywu i mimo odległej epoki, o jakiej film i książka mówią. Ale i film i książka mówią o „tredowatych”, którzy są wśród nas.

„Pegaz” prosił o listy na ten temat, ale „Pegaz” co tydzień prosi o listy, tylko nie pamiętam, aby jakiś list został w „Pegazie” ogłoszony. Więc ogłaszam ten list w gazecie.

TELEMAN

## ANDRZEJ MAKOWIECKI

## KWADRANS ŚPIĄCEJ KRÓLEWNY

Środa jest dla wyczynowych piłkarzy najcięższym dniem. W środę trenuje się dwukrotnie: przed i po południu, co ma podobno przysposobić drużynę do meczów, które wypadają często w połowie tygodnia. Są środy ligowe i środy pucharowe. Są środy narodowe, kiedy to zespoły walczą o awans do World Cup. Są również te zwykłe, suche środy. Dla kibiców piłkarskich „środa” ma brzmienie muzyki, ale zawodnicy przeklinają ten dźwięk. Sucha środa, dwa treningi, to orka gorsza niż w kamieniołomach, zwłaszcza pod takim bucem jak Cygario.

Znowu wszystko odwrócił. Rano ćwiczenia z piłką — strzały na bramkę, zagrywki taktyczne, driblingi, wózki, trójkąty, długie podania, centry z biegu, a więc to, co w miarę jeszcze cieszy; wieczorem, na przekór logice, zajęcia wytrzymałościowe — najpierw na bieżni, gdzie mierzył nam stoperem czas na setkę, później w hali, gdzie pospolu z Węzłem poddawał nas torturze rozmaitych aparatów.

Z początku byłem zadowolony, że tak ostro daje mi w kość. Brałem to za oznakę pojednania. Ale buc nie chciał wcale pojednania. W godzinę wycisnął ze mnie wszystkie sokki. Setkę musiałem biegać pięć razy, za każdym razem wolniej. Potem puścił mnie jeszcze w długi spacerek dookoła boiska, że to niby muszę podkręcić kondycję. Kiedy zatrzymałem się dla wyrównania oddechu, wrzasnął:

— Gaz, kurwa! Gaz!

Biegłem, polykając powietrze; zataczałem się, potykałem. Przede mną rwał ochoco Babinow, z tyłu człapał ciężko Jaskółka. Jedno okrążenie, drugie, trzecie... Zapadał już mrok i czułem odruchy buntu. Migotało mi w oczach, krew waliła w skroniach. Co on robi? W ten sposób można wykończyć drużynę. Zajeżdża nas, idiota! Nieraz przecież bywało, że po takich treningach faceci trafiali do szpitala na serce. Szczególnie ci młodzi, zapalczywi i głupi, jak Babinow, który wierzy, że Cygario chce dobrze.

— Gaz! Gaz!

Stał w miejscu z napiętą twarzą i oprawy; sznury żył wylazły mu na szyi jakby to on przebiegał nogami, nie my. Lypał na mnie. Pamięta! I nie szybko zapomni! Całe szczęście, że trenerzy zmieniają się jak gacie. Za rok, może wcześniej, pójdzie do innego klubu, a jego miejsce zajmie kolejny cwaniak z własnym systemem ćwiczeń.

Kiedy schodziłem z boiska do hali, drżały podo mną kolana. Usiadłem na lawce, dławiąc się odorem potu. Zamierzałem trochę odpocząć, ale Cygario miał inne plany. Zagonił nas wszystkich do gabinetu lekarskiego, który w gruncie rzeczy był pod opieką Węzła. I nie zwlekając, wytknął mi palec.

— Chodź — powiedział.

— Gdzie?

— Tu. — Wskazał cykloergometr, taki rower do sprawdzania wytrzymałości nóg. — Zobaczymy, czy naprawdę jesteś w formie.

Chciałem zaprotestować, ale pomyślałem, że może to być prowokacja. Poza tym — patrzyli na mnie chłopaki. Moll uśmiechnął się do Krauzego. Jaskółka wyszczerzył radośnie siekaczki. Nie wszyscy mnie lubili. Zadzwoili mi miejsca w kadrze. Zadzwoili wyższych poborów, luksusowego mieszkanka, samochodu (Fiat Spor Spider 124), który dostałem za ostatnie Mistrzostwa Świata, ciuchów, rozgłosu i wykształconej dziewczyny.

Co ona teraz robi?

Odsunąłem tę myśl.

Wziąłem na rower i zacząłem kręcić. Od razu włączył mi pełne obciążenie i musiałem uważać, żeby nie gasło kontrolne światełko. Byby to dowód, że wysiadam. I wysiadłem. Łydky i uda drętwiały od wysiłku, napięte mięśnie bolały, jakby miały trzasnąć. Żarówka migotała. Ktoś parsknął, gdy stopa ześliznęła mi się z pedału. Zauważyłem, że Węzeł jest chmurny. Patrzyłem na niego. Wiem, że nie pochwałal tych egzorcyzmów. W ogóle nie miał o coachu najwyższego mniemania. W duchu uważał go za ignoranta i nieuka. O ile na boisku nie śmiał wdawać się z nim w dyskusje, tu, w laboratorium i w gabinecie odnowy, często pozwalał sobie na protest.

— Starczy mu, szefie — powiedział.  
— Dobra — zgodził się nieoczekiwanie Cygario i zaczął szukać następnego ofiary. Odetchnąłem.  
— Ale kiedy Forester wgramolił się po mnie na siodełko a ja — do cna w bruto, skołowany, gnusny, śpiący i mimo wszystko, wściekły — chciałem iść pod prysznic, usłyszałem nagle:

— Zaczekał, że ksi.  
— Na co? — spytałem.  
— Na to — pokazał ruchoma bieżnia.  
— Zobaczymy, co ci ta rozróżnka dała. Węzeł zamrugał oczami.  
— On ma dość, szefie — powiedział.  
— Nie wtrącał się — baknął Cygario.

Twarz Węzła przybrała taki odcień jakby go przyłapano na kradzieży. Do dzisiaj nie wiem: gniew to był czy zawstydzenie.

— Ma dosyć — powtórzył cicho.

— Zamknij Jape! — ryknął coach. Wole nabrzmiało mu z oburzenia. — Jeszcze na razie ja tu rządzą, nie ty!

W takich sytuacjach zapomina się o zmęczeniu.

Zagryzłem wargi i wszedłem na bieżnię. Drżącymi rękami umocowałem mi na desce przyssawkę do mierzenia pracy serca, co było raczej manewrem dla zachowania pozorów. I za nacisnięciem guzika wprawił cały mechanizm w ruch. Gumowa wstęga na rolkach, przypominająca pas transmisyjny, zaczęła obracać się do tyłu z szybkością pięciu kilometrów na godzinę. Drugi bieg wynosił dziesięć kilometrów, a trzeci dwadzieścia. On jednak pozostał na razie przy pierwszym. Dreptałem, trzymając się oburacz stalowych poręcz. Żeby nie było mi za dobrze, wymacał jakieś pokrętko i dziób bieżni uniósł się z podłogi. Biegłem teraz w charakterze alpinisty — pod górę. Pamiętam, że Babinow ukrył głowę w kolanach, a Krauze przestał pedałować i wpatrywał się we mnie z natężeniem. Węzeł zapalił papierosa, chociaż sam krzychał, żeby w tych pomieszczeniach nie palić. Zamknąłem oczy. Wytrzyma! Albo przeskoczysz poręcz i zdiełisz lajdaka w kły! Wtedy włączył mi nagle trzeci bieg. Nie żaden drugi, tylko od razu trzeci: z pięciu kilometrów na dwadzieścia. Poeciłem do przodu. Zrobiłem jeszcze kilka rozpaczliwych kroków, pośliznąłem się na zaplასzczony gumie i upadłem. Przyssawka oderwała się z kłasnieniem od piersi, napęd cisnął mną z rozmachem o ścianę.

— Dobra! Następny! — krzyknął coach. — Forester!

Wstałem przy pomocy Węzła i usiadłem na białym, lekarskim taborecie. Podał mi ręcznik. Wytarłem tylko oczy. Włożyłem górę od dressu. Odliczyłem do dziesięciu. Wtęrzę

to. Powiedział, że bym położył się w jego gabinecie i zrobiłem tak. Spałem chyba. Zobaczyłem Sylwię w objęciach obcego mężczyzny; pakował jej rękę za dekollet i był trochę podobny do coacha. Obudziłem się z jękiem, obolały i spocyny. Węzeł dotknął mojego czola.

— Zie się czujesz?  
— Oni już poszli?  
— Tak.  
— Dobrze.  
— Dobrze, że poszli, czy dobrze się czujesz?  
— Czego on chce? — zapytałem.  
— Nie wiem.  
— Wściekłość, która przespała się ze mną, zaczęła podnosić leń. Usiadłem na łóżku i chwyciłem go za przekub.  
— Powiedz puściłście ten mecz?  
— Milszał.  
— I ten w niedzielę też puściłście?  
— ...  
— Myślisz, że jestem ślepy? Wszyscy u-moczyliście dziób. Tylko ja, biedny frajer...  
— Nie hōj się, dostaniesz swoje...  
— Za co?! — wrzasnąłem. — Za co?! Że nie wyjde na boisko?  
— Władzisz.  
— Wiesz za co?!... Mam najacować? u-dawać, że nie umiem trafić w nitkę? robić z siebie palanta przed kamerami i publika? Pierze to!

— Trzeba było zostać księdzem.

Wiem, co chciał powiedzieć. Ze jestem śmieszny, głupi, naiwny, że w naszym świecie tacy jak ja nie mają racji bytu. Uczciwość siedzi za bokiem, w sądzie i w kościele, tu uczy się szkodzi tylko sobie i innym, co też jest w końcu dranstwem. Trzeba myśleć perspektywnie. W sporcie również obowiązują strategia. Przejgraj dzisiaj, żeby wygrać jutro, nie zapomnij o przyszłości...

To chciał powiedzieć i miał rację! Byłem śmieszny i głupi. Poza tym, z moją uczciwością też dawniej różnie bywało... Ten mecz z Partyzantem, kiedy nie strzeliłem karnego i tylko ja wiem, jakie były przyczyny... Albo to spotkanie z F.C. Antwerpia, przegrane przeze mnie już w szatni...

— Chodź — powiedział Węzeł. — Zrobisz ci hydroterapię.

— Ale bez kawałów.

— Jasne.

Przeszliśmy do pomieszczenia z basenem. Rozebrałem się i stanąłem na słupku startowym, a on chwycił bicz szkodki i odmierzył dystans siedmiu metrów.

— Odpuść mi — powiedział.  
— Coochow!  
— Tak — i strzelił mi w brzuch zimnym strumieniem.  
— Dał trochę ciepłej lajdaku!  
— Zaraz odpuścisz mi?  
— On i tak długo nie wciągnie.  
— Poeciennie?  
— Skaż wiesz?  
— Jezus Maria! — rozłożyłem ręce i wpadłem do basenu. Wyrzyłem się ze śmiechem — Mamu meczyć się z ta świnią następnym rok?...  
— Zachębiał.  
— Zrobisz ci masaż podwodny. Chcesz?  
— Ale na cieniu.  
— Dobra.

Podpłynąłem do końca z parcyjnych pasów, które było pod powierzchnią i ułożyłem się tak, że wystawała tylko głowa.

Zanurzył rękę z aluminiowym pistoletem i naciskając cyngiel wpakował mi w bok strugę pod ciśnieniem pięciu atmosfer. Później zajął się nogami i w ogóle całym ciałem. Kiedy skończył, byłem jak nowy. Lubilem drania. Wycierałem się parując, podczas gdy on robił porządku w swoim królestwie, w obu tych pokaznych, białych salach, gdzie stały rozmaite tangentory, diodymetry, soluski, kwarcówki, komputery do testów czynnościowych, diaterma krótkofalowa i inne cuda, zdolne odświeżyć człowieka i przebadać go na wszelkie możliwe sposoby.

## WIZYTA

Myślę, że gdybym mniej gadał, a lepiej przyglądał się ludziom, omi-

nałbym jakoś to nieszczęście w niedzielę.

Ale, najpierw była sobota...

Po treningu wróciłem do domu. Włożyłem najlepszy garnitur, przejechałem wilgotną szmatką buty. Wyjąłem z biurka to cacuszko dla Sylwii i wsadziłem do górnej kieszonki w marynarce. Wychodząc zarzuciłem na ramię granatową torbę ADIDAS, w której trzymam różne spargaly i leki. Fakt, że wychając ja pod siedzenie w samochodzie, przypomniałem sobie o igłach... Chciałem nawet zatrzymać się przed apteką i kupić kilka jednorazówek, ale po drodze wyjechało mi z głowy.

Zjadłem samotny obiad w Cristalu, potem odmeldowałem się telefonicznie coachowi. Zapytał, gdzie przeniekuje, a ja powiedziałem że w Grandzie.

— Okay — zgodził się bez oporu. — Jutro mamy tam o drugiej obiad, chcę cię zobaczyć.

W godzinę później dojeżdżałem zatłoczoną szosą do stolicy.

Odbierając klucz w recepcji hotelu, zostałem rozpoznany. Otoczyło mnie pięciu czy sześciu i ten chudy, o wyglądzie rasowego dziennikarza, zapytał bez wstępów:

— Jaki wynik pan przewiduje?

— Zwycięstwo.

— Fortuny?

— A gdzie tam! Nasze.

— Jednym słowem... nie zdobędziemy mistrzostwa?

— Chyba nie.

Pierwsza rzecz, którą zrobiłem w pokoju, to otworzyłem okno. Następnie rozpakowałem walizkę, wetknąłem pod poduszkę zeszyt z notatkami i umyłem ręce. Zastanawiałem się chwilę, czy nie zadzwonić. Wreszcie zapaliłem papierosa i wyszedłem.

Idąc przez ogromny, marmurowy hall, zobaczyłem rozpięty na ścianie transparent: WITAMY UCZESTNIKÓW OGÓLNOKRAJOWEGO KONGRESU KARDIOLOGÓW DZIECIĘCYCH. Przy stoliku z tabliczką INFORMACJA kręciło się wiele wytwornych pań i panów. Dwóch chłopców z obsługi telewizyjnej oświetlało ich ręcznymi reflektorami, zdunzony operator manewrował ciężką kamerą tak, aby chwycić na muszke tych ważnych.

Nagle rozległ się wrzask:

— Dragan!  
— Zaraz potem:  
— Rób coś. Rób coś!  
Reflektory chlusnęły mi w twarz. ryl kamerę odwrócił się od kardiologów i zatrzął mi z bliska w oczu.  
Ktoś zawył sanitwie:  
— Podobno chce pan nas wykończyć?  
Odpowiedziałem z uśmiechem:  
— Coś w tym stylu.  
— Nie żartuje pan?  
— Skaż.  
— No, proszę — parsknął inny gość. A stysłisliśm, że sprawa jest zatławiona.  
— Złatawiona? — Dmuchnałem mu dymanem w nos. — Jak mam to niby rozumieć?  
— Ruszyłem do drzwi. Nim wyszedłem na ulicę, usłyszałem jeszcze:  
— Nie stawiaj się tak, cwaniaku. Przyhamuj!

Dom Sylwii znajdował się w dzielnicy willowej, niespełna dziesięć minut drogi od hotelu. Był nieduży, ale bardzo ładny, o drewnianym frontonie i szarych, porośniętych dzikim winem ścianach. Już z daleka zauważyłem światło w wykuszowym, opancerzonym kratami oknie i czułem jak serce wali mi o żebra. Może jednak powinienem zadzwonić? Podjechałem cicho pod uchylona bramę; stał tam jakiś obcy, stary, niezwłkle zmaltretowany Volkswagen, istne strasztydo z roztrzaskanym ślupem reflektoru i pogiętymi w harmonijkę błotnikami.

Spojrzałem na zegarek. Było dopiero w pół do ósmej: Pchnąłem furtkę i wszedłem na żwirowaną ścieżkę, która prowadziła do ganku. Pies wylaził z budy, ale nie zaszczekał. W altance ćwierkały wróble. Nim zdążyłem wymacać kółkatę na drzwiach, zakrzytał klucz w zamku i stanąłem oko w oko z korpulentną babulka.

— Pan do kogo? — spytała nieufnie.

— Do Sylwii.

— Aaaa — obcięła mnie koso. — Chwileczkę...

Zgineła w zalomku korytarza. Ledwo zdałem przyklepać w lustrze włosy, usłyszałem gdzieś z głębi rozbawiony, kobiecy głos:

— Proś!

(c.d.n.)



Z KAZIMIERZEM DEYNA NA CZELE

Wyludniły się piłkarskie stadiony...

Chciałabym więc znać trochę tę zimową ciszę...

Opinie o Kazimierzu Deynie są zgodne. Jest to dobry piłkarz...

W jesiennej dziesiątce „Sportu” druga pozycję zajmuje Henryk Kasperczak...

Podobną ocenę naszych piłkarzy zaprezentowała swoim czytelnikom „Piłka Nożna”...

Do klasy reprezentacyjnej „Piłka Nożna” zaliczyła Zygmunta Kukie, jako jedynego bramkarza...

A inni? Dobre lokaty w klasie krajowej zajęli między innymi: Zdzisław Kostrzewski...

A liczby i fakty są nieublagane. W 1976 roku nasza reprezentacja piłkarska 5 razy zwyciężyła...

Dokonywane oceny, czy to drużyny czy poszczególnych zawodników nie dają wyrażnego obrazu...

BOGDA MADEJ

POWIEŚĆ W ODCINKACH (3)

— Oczywiście, oczywiście — przytakuje asystent...

Asystent jest coraz bardziej przerażony. Dotąd chodził, gestykulował, pokazywał budowę...

— Ja tak cicho mówię — zwierza się inżynier. — Również głośno nie chodzi...

Roma gładzi asystenta po głowie, przemawia łagodnie, obiecuje...

Kiedy Roma wychodzi od asystenta, pentent wstaje, podnosi do góry palec i mówi:

— Słyszało się coś niecoś. Niewiele, ale wynika stąd dla pani pewna nauka...

Stary bierze ją za łokieć i przechodząc na „ty” tłumaczy: — Musisz być bardziej dumna i nieprzystępna...

Roma zastukała w ścianę. Biurobus stanął. Kelnerka wysiadła. Pentent zostaje, czekając na najlepszą sposobność przedstawienia...

Zaraz podjeżdża ciężarówka. Kierowca otwiera drzwi i mówi: „Roma wsiada”.

— Dziecił wykapaleś? — pyta po chwili. — Matka wykapala. — Spłaj? — Matka położyła.

Milkną. Pełzał nie usposabia do wylewności. Biała piaseczysta pustynia bez jednego drzewa...

Dopiero, gdy wyjeżdżają na asfalt, kierowca odzyskuje dobry nastrój. Zdaje relację z tego, co się dowiedział o następnym autorze skargi...

„Zwróciłem się do kelnerki nr 8 zapytaniem na jakich kościach jest zupa. To pytanie pozostało bez odpowiedzi...”

Zgodnie z posiadaniem przez Romę informacjami, senior powinien przebywać na zapleczu Klubu Górnicza „Gwarek”.

Pokój na zapleczu klubu. Stąd przechodzi się do pomieszczenia, gdzie stoi lada z ekspresem do kawy.

— Czy nie byłby pan tak uprzejmy i chciałby spytać tę panią, o której będą wydawać wrzątek?

— Ależ proszę bardzo — sympatyczny inżynier podchodzi do barmanki...

— O szesnastej. — Dziękuję najuprzejmiej — starzec uklonił się wykwitnie i stanął pod ścianą...

— Czy mógłby mi pan wyświadczyć przysługę i spytać, czy mi wydadzą wrzątek. To już było ustalone...

— Ależ proszę bardzo. — Uprzejmy podchodzi do barmanki.

Mirek otworzył teczkę i daje żonie butelkę. — Z wziętką uważaj — ostrzega. — Jeżeli już, to na cel społeczny...

Roma wraca i ze sztucznym ożywieniem pyta: — Są tu jakieś kieliszki? — Zakretek od termosów — odpowiada skarbnik śmiejąc się.

— Niech pan otworzy — podaje mu butelkę — a ja ponawiam do tych termosów.

— Wódki?! Seniorom?! — Wrzątku. To dla nas. Nie widzę tu żadnych seniorów...

HENRYK DEDERKO WYCOF



Rys. Janusz Szymański-Glanc

Ta pokazuje na czajnik. Inżynier wraca do starszuszka, podprowadza go do czajnika i mówi:

— Naturalnie, może pan skorzystać z wrzątku. — Stary sięga po jedną z dwóch walczyków, które przyniósł ze sobą...

Roma poczuła, że teraz przyszedł właściwy moment i wchodzi do pokoiku. Stary nalewa wrzątek do termosów...

— Gdyby pani poruszyła jakiś temat, chętnie bym przyjął pani zapartywanie — odzywa się grzeczenie senior.

— Czy pan mnie sobie przypomina? — Nie — biednie starszulek. — Zapomniałem? — Skądże.

— Jestem kelnerką ze „Śródmiejskiej”. Pan napisał na mnie skargę. — A ja myślałem, że pani chce zabrać wrzątek — duka stary — więc bałem się spytać, po co pani przyszła...

— To się zobaczy. — To bardzo ładny zwyczaj, że w przypadku, gdy kelner zawini — przychodzi osobiście przeprosić konsumenta...

Jest tak onieśmielony i wystraszony, że nie może mówić. Nie patrzy na Romę. Myła mu się termosy napełnione i puste. Roma postąpiła chwilę i wraca do szoferki.

— Ten jest strasznie zahukany — mówi do męża — Ty idź, bo jest bardzo bojący... Albo daj te pół litra.

— Albo wojna. Niosę walizkę pełną granatów i magazynków, a z naprzeciwka dwa szkopci. Oficer i unteroficer. Patrzą na mnie. Ja nic, przystępuję do oficera i pytam: „Wielki Uhr ist est?”...

Senior opowiadając ma zwyczaj wspomaganą erudycją gestem i ruchem. Demonstruje gdzie kto stał, cytuje jego gesty, sposób chodzenia i mówienia...

— A wtedy, dziesiątego października, to jakie mogły być kości? — Wtedy? Chyba... z drobiu — zmyśla Roma.

— A, z drobiu... Kości z drobiu. Rozumiem. I nie można było od razu powiedzieć? Czy informowanie o składzie wywaru podstawowego jest u was zabronione? Zwyją urażę o to przemilczenie.

Roma kończy napełnianie termosów. Nalewa następną kolejkę. Nie oszukuje. Pod baczny okiem seniora spija każdą zakretekę. Senior zaczyna opowiadać dalej, ilustrując wszystko ruchem.

— Szykuje się w klubie seniora spotkanie z dyrektorem kopalni. A pytała nabierała się, nabierała. Seniorzy się przygotowali, chociaż mało u nich odwagi. Seniorzy bardzo kochają przyrodę. Mówi się o tym po kątach, ale mało kto odważa się głośno powiedzieć. A kochają jak rzadko...

— Wtorek, równo za tydzień. Wtorek to dla mnie dzień szczęśliwy. Pułkownikowa mieszkała naprzeciwko kina, a ja prosty rotmistrz. Podobno była baronówną. Przychodziła we wtorki, kiedy pułkownik jeździł na inspekcje. Salutowałem, całowałem w rękę — senior salutuje i całuje Romę w rękę — i jedynym ruchem zdzieram z niej suknie. Przecwiczyłem to sobie na manekinie z juty, który mieliśmy do nauki klucza bagnetem... Suknia musiała pękać na pół, ale nie powinno to boleć.

Niespodziewanie senior demonstruje i ten fragment relacji, zdzierając z Romę bluzkę i rzucając ją na czajnik. Roma przytłoczona energią seniora z rezygnacją i ciekawością odgrywa rolę pułkownikowej.

— Co to była za kobieta! Jak chłasnęłam w dupę ulańską ręką — senior z wprawą ilustruje swoje wspomnienie — to jeszcze w przyszły wtorek było widać pięć palców. Nigdy nie robiła trudności, jeśli chodziło o chwilową rezygnację z czci. A zawsze chodziło! Mówiła do mnie: „Pan jesteś jak gejzer islandzki!” — senior mnie w rękach majteczki Romy, po czym wyrzuca je przez okno.

Pułkownikowej też zawsze wyrzucałem, ale na drugi wtorek przyniosłem nowe. Kupowałem wykwitnie w składzie Radomskiego. Zawsze coś dla mnie eleganckiego odkładał, Radomski ale Polak. Więc po pewnym czasie można było rzec, że swoje wyrzucałem.

Kiedy Roma się ubierała, senior pakował termosy. Zamknął walizki, podchodził z gracją do Romy, stuka obcasami i pyta: — A teraz spytała się ośmieli, czy smakowało.

Roma podaje mu pełną zakretekę. Gest ten jest odpowiedzią, a wnioskując z reakcji seniora uczulonego na odpowiedzi niejasne, zadawał ją. Oddając książkę załazła, w której przed chwilą złożył zamasyisty podpis, senior oświadcza:

— Wniosek stał się niebyły, ponieważ w końcu satysfakcji mi udzielił. A to prezent od starego rotmistrza a obecnie emerytowanego górnika — podaje jej zgrabny wisior w kształcie lampy górniczej.

— Wypijmy, co wspominać — studiuj go Roma.

(c.d.n)



H. G. WELLS

Milioniści literatury fantastycznej mają niemałe powody do zadowolenia. Odczuwają wielką satysfakcję z powodu...

Wells napisał w wieku młodzieńczym i te właśnie utwory pisarza cieszą się do dziś największą popularnością. Pisał je z wielką łatwością; dysponował potrzebną orientacją w dziedzinie nauk ścisłych i specyficzną, dużą wyobraźnią.

Herbert George Wells „Opowieści fantastyczne”, wybór Wł. Kopalński, Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1976, t. I/II, cena zł 75.

PROZA KUBAŃSKA

„Cecylia Valdés, albo Wzgórze Anioła”, taki tytuł nosi dwutomowa powieść Cirila Villaverde, która uważana jest za największe osiągnięcie dziewiętnastowiecznej prozy kubańskiej.

„Cecylia Valdés...” ukazała się w roku 1822 w Nowym Jorku, pierwsza wydanie kubańskie miało miejsce w siedem lat później.

Powieść „Cecylia Valdés, albo Wzgórze Anioła” ukazała się w Serii Prozy Iberoamerykańskiej.

Cirilo Villaverde „Cecylia Valdés, albo Wzgórze Anioła”, przełożyła D. Rycewicz, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1976, tom I/II, cena zł 75.

PAMIĘTNIK JASNOWIDZA

„O, nieszczęśliwa ciemnota jasnowidzów” — ten cytat z „Enelidy” Wł. Głuskiusza postąpił jako motto pamiętników Józefa Marcinkowskiego.

Akhara Jussuf Mustafa „Pamiętnik Jasnowidza”, LSW, Warszawa, 1976, str. 266, cena zł 60.

MAŁOWANA LALA

Margaret Forster, współczesna pisarka angielska, zadebiutowała mając 26 lat. Wkrótce po ukazaniu się w roku 1924 jej pierwszej powieści, wydano drugą — „Georgy Girl”.

Margaret Forster „Malowana lala”, przełożyła W. Shalite-rowska, PIW, W-wa 1976, str. 270, cena zł 25.

WARTO PRZECZYTAĆ

- JAN DRZEŹDŹON — Oczy diabła. LSW 1975, zł 25.
JOANNA SALAMON — Pra-nowe abecadło. WLiit. 1976, zł 10.
EUGENIUSZ WACHOWIAK — Słowo i gest. WPOzn. 1976, zł 15.
AN LEGOWICZ — Zarys historii filozofii. WP 1976, zł 120.
JALU KUREK — Emlerch natchnienia? Szkice o poezji WLiit. 1976, zł 30.
STANISŁAW JAWORSKI — Między awangardą a nadrealizmem. Główne kierunki przemian poezji polskiej w latach trzydziestych na tle europejskim. WLiit. Kraków 1976, zł 40.

ZDARZENIA I ZWIERZENIA

BESTSELLER HORACEGO SAFRINA

Dwanaście lat minęło od chwili, kiedy bestseller Horacego Safrina pojawił się na księgarskim rynku. Dwa następnego wydania zniknęły w ciągu paru godzin, aż wreszcie w końcu tego roku Wydawnictwo Łódzkie poszło „na całość”.

„Przy szabasowych świecach” wydano tuż przed świętami w nakładzie osiemdziesięciu tysięcy. Cena raczej umiarkowana, bo 50 zł. W ten sposób bestseller Safrina ma szansę poleżeć w księgarniach około miesiąca.

Epizodyczne i bliskie zarazem są te opowieści z nie istniejącej

go już świata. Pisze Safrin: „Przyszedłem na świat w małym galicyjskim miasteczku, gdzie kozy zwykły się pasać na placu targowym, a trzy latarnie uliczne używały naftowego światła tylko w bezkaszycowej nocy (...). Wędrując z teatrem żydowskim po miastach i miasteczkach Małopolski (...) chłonałem świeżo upieczony nowinki i drwinki, które później, wzięte na warsztat folklorystów i naukowców, przybrały formę drukowanych anegdot i dykteryjek”.

Albo opowieść Herszla z Ostrołpa o kupnie sierpa, który poddaje się trzem próbom. Kupujący przede wszystkim wyrwają sobie z brody włos i usiłuje przeciąć go w powietrzu. Jeśli sierp przepołowi włos, to

dobrze, jeśli nie przepołowi — to źle. Potem uderza sierpem o kamień. Jeśli wyskoczy iskra, to dobrze, jeśli nie wyskoczy — to źle. Potem bierze sierp i chowa go pod kożuchem. Jeśli kupiec tego nie zauważy, to dobrze, jeśli spostrzeże — to źle...

Osobliwą cechą humoru żydowskiego i żydowskiej postawy życiowej był specyficzny stosunek do Boga, którego traktowano trochę z dystansem, a trochę jak partnera. Jest taka anegdota mówiąca o tym, jak dwa rabini zaczęli dyskutować nad interpretacją jakiegoś fragmentu świętych ksiąg.

I wtedy żydzi wołają oburzeni: „Wy tam, w górę, sza! Wasza rzecz była dać Księgę — a nasza nad nią dyskutować”.

Zawarta jest w tej anegdocie głęboka mądrość wyrażająca się w opozycji wobec wiel-

kich dogmatów i kanonów, dopuszczająca każdą dyskusję i możliwość każdej interpretacji nad słowem zawartym w Kodeksie Prawd. Ta starańska anegdota sprzed wieku aktualna jest i będzie zawsze. Mówi o tym, że nikt — nawet Bóg — nie ma monopolu na jedną, jedyną i wszystkich obowiązującą prawdę, na jeden dogmat. Porównajcie tę postawę z zasadami nieomylności.

Podobny stosunek do życia pozagrobowego reprezentuje wspomniany Herszel z Ostrołpa. „Boisz się piekła?” — pyta ją Herszla. „Nie bardzo. Mówię się, że w raju mogą mnie posadzić koło jakiegoś pobożnego idioty”.

Otóż to! Nie pobożność jest kwalifikacją człowieka, lecz jego mądrość. Nieprawomyślny medceerz cenniejszy jest od najbardziej pobożnego idioty. Myślę więc, że nie tylko egzotyka i bliskość humoru żydowskiego zawarte w książce Horacego Safrina sprawiły, że jest ona od lat dwunastu bestsellerem. Zza tych dykteryjek wyłania się bowiem otwarta, mądra postawa wobec świata, jego prawd i dogmatów.

WIDOK

LEWYM OKIEM

DZIADEK W DALEKIEJ WARSZAWIE

Przez sto lat mój się na świecie mnóstwo nadzarcza, a już jeśli chodzi o ostatni wiek — to wszystko siedem razy zdążyło stanąć na głowie, przenicować się, odwrócić i znowu machnąć koziółka. A z drugiej strony sto lat to tak niewiele, że bez trudu cały ten okres obejmuje się usną relacją nocnych świadków. Pamiętam doskonale opowieści mego dziadka sprzed czterdziestu lat a on z kolei opowiadał o zdarzeniach ze swej młodości, a więc jeszcze o kilkudziesięciu lat wczesniejszych. Razem to setka jak obszar.

Najwyższe zostały w mej pamięci opowieści o wyprawie do Ameryki. Pojechał tam mój młody dziadek wtedy proflapasta wraz z grupą swych krajanów — u dorobek, zastawił młodą żonę. Jego brat już tam był wcześniej i został na całe długie życie dziadkiem jednak po dwóch latach wrócił, nekany wielka nostalgia na swoją skromniutką gospodarkę. Płynęli do tej Ameryki wieki tygodni, w zaduchu i śleku schorowani i przeżarci wirulim falami. A przedtem wieści ich agenci przedsiębiorstwa emigracyjnego pociągali do Bremy i tam kompletowali ładunek z różnych narodowości.

W Bremie kandydat na zamorskich milionerów mieszkali w gospodzie, która nazywała się Warszawa, „Stadt Warschau”. No i proszę: mam w roku osadę toz misko niemieckie: „Kulturgeschichte der Gaststätte” (co by należało tłumaczyć najszybciej: Historia kulturalna restauracji, kawiarni, zajazdów i hoteli) wydane w roku 1941 a opracowane przez pana doktora Friedricha Rauera. Na stronie 799 jedno z bardzo wielu zdjęć — a są to przeważnie niepowtarzalne zdjęcia o wartości dokumentalnej — przedstawia grupę oszołomionych chłopków w lichej, ale miejscowych ubraniach, w kapeluszach stojących przed domem z napisem „Stadt Warschau”. Podpis pod zdjęciem nie pozostawia wątpliwości: to gospoda emigrancka w Bremie. Na następnej stronie jeszcze jedno zdjęcie: 8-letnie dziecko na parkanie bierzejskiej ulicy. W wersji polskiej napis — bez najmniejszego błędu, co dzisiaj u naszych zachodnich sąsiadów nieszczęśliwie zdarza się rzadziej — głosi: „Przestroga! Zanieczyszczenie tej ulicy jest najsurowiej wzbronione!”

W tym domu mieszkał mój dziadek i stał pod tą tablicą razem z Czechami, Serbami, Bułgarami. Każdy czytał swoje: Przestroga. Opomena. Swarila. Wystraha. Przecielak obrzymi wówczas szmal światła i zapłakał widząc znów na ścianie słowo „Warszawa”. To było sto lat temu, no stu latach uzupełniam działoce opowieści wizualnym aleratem.

W stolicy Niemieckiej Republiki Demokratycznej jest też restauracja „Warszawa”. Nie „War-

schau”, tylko właśnie „Warszawa”. Nasi sąsiedzi uchwalili stosować polskie nazwy geograficzne w polskim brzmieniu, chce także i tym drobiazgiem dać nam satysfakcję za niedobre doświadczenia przeszłości. Nikt w NRD nie mówi Łódźsch, każdy poprawnie wymówił Łódź. Nie m. Stettina, jest także trudny do wymówienia Szczecin. Restauracja „Warszawa” jest pięknym reprezentacyjnym lokalem w samym centrum miasta, serwuje się tam polskie potrawy, kelnerki mówią po polsku. Lokal jest modny i gęsto uczęszczany, także przez tamtejszą Polonię. Ale jakżeż inna jest ta Polonia od tamtej z zajazdu „Stadt Warschau” w Bremie!

Patrzę na te stare zdjęcia z różnych miast niemieckich, na znaną mi kawiarnię „Zum Kaffebaum” w Lipsku, ale sfotografowaną wiele lat temu i wciąż taką samą, z tym samym Arabem nad drzwiami i — wyobraźcie sobie — przy ulicy obrót o kilkuset lat wciąż nazywa się „N o v o reinfier” (Neue Fleischergasse); czytając, że otwarto ją w 1694 roku, a więc trzysta lat temu, że sadywał w niej — tej samej i takiej samej — pisarz Lessing i pisarz Kotzebue; czytając żartobliwa „Modell” furmanów niemieckich z XVIII wieku, w której modlili się, aby karczmarz potraktował ich „prawdziwą polską wolo-

schau”, tylko właśnie „Warszawa”. Nasi sąsiedzi uchwalili stosować polskie nazwy geograficzne w polskim brzmieniu, chce także i tym drobiazgiem dać nam satysfakcję za niedobre doświadczenia przeszłości. Nikt w NRD nie mówi Łódźsch, każdy poprawnie wymówił Łódź. Nie m. Stettina, jest także trudny do wymówienia Szczecin. Restauracja „Warszawa” jest pięknym reprezentacyjnym lokalem w samym centrum miasta, serwuje się tam polskie potrawy, kelnerki mówią po polsku. Lokal jest modny i gęsto uczęszczany, także przez tamtejszą Polonię. Ale jakżeż inna jest ta Polonia od tamtej z zajazdu „Stadt Warschau” w Bremie!

nie; studiuje jadłospisy i ceniki sprzed dziesiątków i setek lat; czytając o gospodach pozostających po dwudziestu lat w rękach tej samej rodziny, obrosłych tradycją, legendą, historią. Czytając to wszystko i nie mogę powstrzymać od druzdzin. Be nie tylko u nas mniej takich miejsc siedzących ciałe tennych życiem, ale o tych co były i są jakże cicho w kulturalno-historycznych publikacjach! Tyko krakowska „Jama Michaliko-wa” i warszawska „Górka” przy „Ziemińskiej” potrafiły skierować na siebie uwagę czytających ale też miały one klientelę, której zawodem jest pisanie. Związana o sobie i o przyjacielach a tych spotykało się na Górze.

Ale kto napisze o knajpie wioślanych flików „Pod Retmanem” w Warszawie, gdzie przy bębnie siedziła najczystsza mieszkanka stolicy? Kto da świadec two setkom oberży i sążądów hotelików neluch swolatego o roku i charakteru, temu co siedziało na obszarze — nieobelet-nym przecież dla szeroko mofe! kulturę — życia towarzyskiego, tośnośności, zabawy, odnośnyk i podróży?

Cheiałbym wziąć w reke faktomisko z tysiacem fotografii. Każdemu z nas nasuwałoby się na pewno wiele starych takich jak własny dziadek w Bremie — przed stu laty. Świat stał się wtedy bardziej przystępny, bo nelen śladów narewek i tów naj-blizszych, co nas poprzedził.

ĆWIEK

PROPOZYCJE

WODY MÓRZ I OCEANÓW

Zima. Na dworze śnieg, mroź, chociaż jeszcze niezbyt silny, na narty by się wybrać, w góry, a mnie się marzy morze. Zimą nad morzem też może być ładnie. Raz nawet wybrać się w lutym nad Bałtyk. Był to bardzo ciepły luty, bez śniegu, mrozu, wiatrów, niemal wiosna. A mnie się marzy zimowe sztormy, oblodzone brzozy, zamrażające płaszczyzny wid. Aż wstyd się przyszyć, bo taki typowo śródlatowy stosunek do morza.

Kiedy „szczur ładowy” mówi o morzu, to zaraz myśli o „letniej przygodzie”, o knajpie, gdzie podawali śledzie prosto z morza o piekane w ciele, o rozgrzanym piasku nadmorskich plaż. Dla niego zima nawet morze może być piękne. Bo dla niego morze to powietrze ultrafioletowe i odpo-czynek. A tymczasem morze to kawałek gospodarki. Nie tylko ze względu, że stanowi ono obszar światłowej komunikacji. Morza i oceany są ogromnym skarbem ludzkości.

Trochę to parszywie na samą święta odbierać ludzi ze śluz-dzeń, zabierać im wspomnienia i zamiast łagodnego wietrzyku znad morza, proponować zabawę w poszukiwaczy skarbow. Roz-greza mnie jednak to, że ni-żyjemy w dobie romantyzmu, ale w zupełnie innych czasach, kiedy trzeba na otaczający świat pa-trzeć również z punktu widzenia gospodarki. Taki punkt widzenia dość często bywa nam obcy, warto więc się trochę podszkalać

i uczyć się widzenia rzeczy i spraw pod różnymi kątami. U mieć podziwiać i piękno, ale nie zapominać o pożytku.

Dla nas gospodarka morska i przede wszystkim transport, ry-bolwstwo, przemysł stoczniowy oraz turystyka. A poza tym tro-ska o to, aby ludzka zachłanność nie zabiła życia w Bałtyku. Dla innych — wody mórz i oceanów są prawdziwą skarbnicą. Może to nawet i lepiej, mają bowiem nie tylko więcej, ale też muszą się kłopotać, jak te skarby zabrać wodom. A jak twierdzą uczeni skarby te są potężne.

Wydawałoby się, że wody mamy tyle na kuli ziemskiej, że wszystkich nią można obszlizić. Ale nie. Wiele państw ostatnio zwiększyło obszar wód terytorjal-nych do 200 mil, co nie wszyst-kim się podoba, bo w obszarze tym znajdują się eksploatowane przez nich łowiska. Po przeprowa-dzeniu 200-milowego pasa wód terytorjalnych przez ZSRR ryba-cy Korei Południowej i Japoni naciskają swoje rządy, aby pod-jęły rokowania w celu umożli-wienia im korzystania z prawa łowienia wewnątrz radzieckiego pasa wód terytorjalnych. Taki sam pas wód terytorjalnych wprowadzają u siebie kraje EWG — od 1 stycznia 1977 roku Związek Radziecki — podejmuj-ąc taką decyzję — wyraźnie za-strzegł, że jest ona tymczasowa do chwili prawnego uregulowa-nia tej kwestii przez konferencje Prawa Morza, która zwolana zo-stała przez ONZ. Poza tym

ZSRR zastrzeżę również, że u-stalając taką strefę chodzi o o-chronę ryb i innych żywych za-sobów morza, a nie o wydobycie bogactw z dna oceanów i mórz.

Radziecki uczeni wprawdzie już dawno obliczyli, że około roku 2000 eksploatacja żywych or-ganizmów w morzach będzie sta-nowić zaledwie połowę ogólnej wartości gospodarki morskiej na całym świecie, a eksploatacja wód morskich i bogactw ukry-tych pod dnem wzniesie do tego czasu 40-krotnie. Związek Ra-dziecki nie jest obecnie w takiej sytuacji surowcowej, która zmu-szałaby radzieckich geologów do poszukiwań pod dnem morza aczkolwiek na Morzu Kaspjskim wydobywa się naftę spod morskiego dna. Ostatnio bardzo in-tensywnie szuka się nafty pod dnem morskim. Szuka się i znaj-duje. U wybrzeży Szkocji, w Za-toce Perskiej, u wybrzeży USA w Zatoce Meksykańskiej. W Za-toce Perskiej jeszcze kilka lat temu dziennie wydobywano spod dna morskiego 100 tys. ton ropy. W Zatoce Meksykańskiej — około 45 tys. ton. Państwa zaczynają układać się między sobą w spr-awie podziału... dna morskiego. Taki układ zawarły Anglia, Francja, Holandia, RFN, Dania i Norwegia w sprawie podziału dna Morza Północnego, a także Iran, Irak, Kuwejt i szeknany w sprawie podziału dna Zatok Perskiej.

Bogactwo mórz nie kończy się na ropie naftowej. Szacuje się

że co najmniej jedna trzecia światowych zasobów gazu ziemnego ukryta jest pod wodą. Ono nowo już metody wydobycia na bogactw naturalnych spod 200-metrowej wody, ale ludziom to mało. W Zatoce Meksykańskiej w odległości 150 km od brzegu próbowano wierceć na głębokości 1,5 km. Bo też jest czego szukać pod dnem morza. Na przykład Japończycy wydoby-wają spod dna morskiego węgiel rudy żelaza i miedzi, Ameryka nie — siarkę, fosforyty i rudy żelaza. A u wybrzeży Afryki i przybrzeżnych osadów wydobywa się... diamenty. Z tego, co woda wyrzuci, z tego co telepie się przy fall u brzegu, pochodzą 46 proc. światowego wydo-... diamentów technicznych i 30 proc. — jubilerskich. Zbiera się tam diamenty tak, jak u nar-burszynie.

Niewyczerpanym bogactwem jest też woda morska. Zawiera ona duże ilości soli, magnezu siarki, wapnia, potasu, bromu boru, krzemu, fluoru, a nawet uranu. Czego to nie ma w wodzie? Jest tam więcej niż 70 pierwiastków chemicznych. Ludzie nauczyli się już niektóre z nich wydobywać z wody morskiej. Niedługo nauczą się wydo-bywać inne...

Ale kiedy tak o tym myślę, rodzi się pytanie: — ile potrzeba nam czasu, aby zacząć rozważać konieczność uratowania wód mórz i oceanów przed człowiekiem?

MARCIN RÓDAK

Śnieg sypał od świtu. Matka, która w ten wigilijny poranek krzątała się po kuchni już przez kilka dobrych godzin, raz po raz wyglądała przez okno na przesłoniętą białym tumanem drogę. Mimo, iż wiedziała, że najwcześniejszy autobus przyjeżdża z miasta dopiero o drugiej po południu, nie mogła opanować radosnego oczekiwania: Wicusi, jej ukochany i jedyny syn przyjeżdżał spędzić święta z rodzicami.

Stare, spracowane dłonie matki nie miały dziś chwili odpoczynku, bo też wszystkie przygotowania do wigierzy trzeba było ukończyć jak najwcześniej, aby z chwilą przyjazdu Wicusia nie już nie było do roboty. Spoglądając na zegar, matka trwożyła się, że nie zdąży uporać się z wszystkim na czas, lecz jednocześnie jej serce rozkosznie przyspieszało bicie na myśl, że to już niedługo, że każda chwila nieuchronnie przybliży moment powrotu z synem. Spieszyła się więc, miesiła ciasto na placki i babę, piekła, gotowała, prasowała obrusy i była bardzo rada.

Spoglądając na spowity białym puchem świat myślała: „Jak ładnie! I jaka uroczysta cisza... Wicusi się ucieszył, bo bardzo lubi, gdy jest śnieg na święta. Biedulek... Sam wśród obcych ludzi... Daleko... Musi mu się ogromnie przykryć bez domu i rodziców... Boże, żeby tylko drogi nie zawiązało, bo autobus nie przejeździ”.

W dużej kafelkowej kuchni wesoło huczał ogień, w izbie było ciepło i przytulnie. Pod kuchnią, wygodnie rozciągnięty, wygrzewał się buri kocur. W przerwach między drzemkami

## MARIANNA GOŹDZIK WIGILIJNY PORANEK

otwierał leniwie ślepia, obserwował radosne krzątanie gospodyni i mruczał pobłażliwie.

W pewnej chwili w sieni dał się słyszeć kaszel, przystupywanie, otrzepywanie śniegu z odzienia i zaraz też w drzwiach ukazał się ojciec dzierzący w ręku soczysto-zieloną, pachnącą lasem choinkę.

— Ho, ho, ho! Aleś się z robotą pospieszyła — zwrócił się do matki. — Postawię drzewko w pokoju, to Wicusi je ustroi kiedy przyjedzie. Tak czuję, że przyjedzie tym o drugiej. On zawsze do domu z radością ciągnie.

Ojciec zanosił choinkę do pokoju, umocował na stojaku przed oknem i wrócił znowu do kuchni. Popatrzył na odmienioną, jak gdyby odmłodniałą

twarz żony i z uśmiechem zapisał.

— A ty, czemu się cieszysz, he?

— Po co pytasz, jak wiesz? — odrzekła. — Ty niby się smucisz?

Ojciec podszedł do matki i delikatnie pocałował ją w zabrudzony maką policzek.

W tej samej chwili pies na podwórzu zaczął szczekać. Ktoś wszedł do sieni. Zaraz potem drzwi do kuchni otworzyły się i stanął w nich mężczyzna w ko-

żuchu i wielkiej futrzanej czaple.

— Niech będzie pochwalony — zaczął od progu.

— Na wieki wieków — odpowiedzili. — Siadajcie.

— Nie będę siadał, bo wstąpiłem tylko na chwilę, żeby wam powiedzieć, że na poccie je do was sennie wazno telegrama. Nocelnicka włosy sobie wyrwało, bo ni mo bez kogo ii posiać.

— O, Boże! — jęknęła matka. — Pewno od Wicusia. Zeby tylko nie jakieś nieszczęście.

Krew odpłynęła jej z twarzy, nogi zaczęły pod nią drżeć. Czym prędzej usiadła na krzesło; radość zmieniła z jej oblicza jak promień zdmuchniętej świecy. Ojciec próbował ją pocieszyć, że przecież telegram nie

musiał zawsze przynieść złych wieści, lecz widać było, że sam nie wierzy w to, co mówi. W końcu zwrócił się do gości.

— A czemuście wy nie przynieśli tego telegramu?

— A bo miałem iść do śwagra, to my nie bely po drodze. Potym my sie przypomniało, że mom interes do Grzelokowigo Wojtka, nu i za to do was tys wstąpił.

— Ubieraj się stary. Bierz konia i wóz i jedź — rozkazała stanowczo matka.

— Jedźcie, bo dzisiaj pocta tylko do dwunasty — poparł ją gość.

Po wyjściu mężczyzny matka próbowała dalej się krzątać, lecz nie jej się nie udawało: wykipiało mleko, splekło się ciasto. Ukłękła więc przed świętym obrazem i zaczęła się modlić.

Ogień wygasł w kuchni, zrobiło się chłodno. Niezadowolony kot obraził się i przestał mruczeć. Na dworze przejaśniło się i śnieg ustał. Świat wyglądał odświętnie i czysto. Zza chmur nieśmiało wyjrzało słońce. Wesoły promień wpadł do izby, za jaśniał lecz zaraz, jakby przestraszony tym, co zastał w izbie, umknął czym prędzej.

Ojciec wrócił przed drugą. Matka wybiegła do niego na dwór i czekała, bojąc się o cokolwiek pytać. Ojciec zszedł z wozu i bez słowa podał jej telegram, w którym przeczytała: „Przepraszam, nie przyjadę. Nie gniewajcie się. Wesołych Świąt, Wicusi”.

— Musiało mu coś ważnego wypaść — westchnęła matka. — Inaczej przecież by przyjechał.

— Może i tak — zgodził się ojciec smętnie. Po chwili dodał z bladym uśmiechem.

— Chyba to nie ostatnie nasze święta? Za rok będziemy świętować wszyscy troje razem,



Fot. Archiwum

## WACŁAW PAWLAK REPORTAŻE Z PRZESZŁOŚCI

W połowie grudnia 1886 roku nie jeszcze nie wskazywało na rychłe nadejście zimy, gdyż padały deszcze, a temperatura powietrza wynosiła kilka stopni powyżej zera. O bliskich już świątach Bożego Narodzenia przypominały jednak ogłoszenia w gazetach znaczniejszych firm handlowych, zwłaszcza tych, które trudniły się sprzedażą spirytualii i zagranicznych smakolek. „Na nadchodzące święta polecamy odstas wna węgierskie i kaukaskie, likiery i koniaki najprzedniejszych marek, tudzież kawior estrachański, ostrzygi holenderskie, figi sultanskie, daktyle marokańskie” — głosił inersat składu win i artykułów kolonialnych M. Sprząkowskiego (Piotrkowska 54), powtarzany wielokrotnie w grudniowych numerach „Dziennika Łódzkiego”.

Reklamowały się w prasie także popularne łódzkie cukierki G. Reynonda (Piotrkowska 76) i Z. Konrada (Nowy Rynek 4 — dziś plac Wolności). Powiadały one swoją klientelę, że na okres świąteczny przygotowały „cukry i marcepany na choinkę, strucle makowe, babki, torty, jako też wyborowe pierniki warszawskie i toruńskie”. Natomiast największy w Łodzi browar sukcesorów K. Anstadta, przewidując zwiększone spożycie piwa w czasie świąt, oferował oprócz piwa helenowskiego nowy gatunek, zwany salonomym.

Znany fotograf E. Sztuman usiłował na łamach gazet przekonąć łódzian, że najlepszym prezentem pod choinkę będzie wykonany przez niego duży, kolorowy portret fotograficzny. Dla tych, którzy uległy reklamie prasowej, w domu przy ul. Piotrkowskiej 24 przygotowana była „weranda do zdjęć dobrze ogrzana”.

Większość właścicieli sklepów urządziła już świąteczne wysła-

wy. Pokazane w wielkich witrzynach firmy Hielle i Dittrich (Piotrkowska 6) lniane wyroby zakładów żyrdardowskich mogły ucieszyć każdą gospodynię. Uwagę przechodniów przyciągała także gustownie urządzona wystawa w magazynie futrzarskim E. Sieradzkiego (Piotrkowska 15). Były tu do nabycia najdroższe futra, rosyjskie sobole, kameczackie bobry, lisy błękitne i srebrzyste. Po przeciwnej stronie ulicy czarowała łódzianki witrzyna sklepu jubilerskiego A. Kantora (Piotrkowska 16). Błyszczało tam złoto i srebro oraz drogocenne kamienie. Interesująca też wyglądała witrzyna petersburskiego „Skorochodu” (Piotrkowska 53). Wystawiono tam eleganckie damskie bucki, zwykłe i balowe, lakiery dla panów, wysokie buty myśliwskie. W licznych sklepach galanterijnych można było oglądać mnóstwo rozmaitych wyrobów. Wszystko to jednak drogie — i naturalnie, dostępne tylko dla ludzi zamożnych. Przedświąteczne ożywienie w handlu niezapelnie zadowalało kupców, gdyż liczli oni na większe zyski. Dla restauratorów zaś okres ten był wprost katastrofalny. Jedną z powszechnie znanych w mieście restauracji targowała dziennie zaledwie dziesięć rubli.

Tydzień przedświąteczny okazał się również nieprzejazny dla aktorów. Józef Puchniewski, dyrektor Towarzystwa Artystów Dramatycznych, które przed paru tygodniami zjechało do Łodzi i zainstalowało się w gmachu „Victorii” (Piotrkowska 67 w podwórzu), uzalał się na pustki w teatrze. Dwa przedstawienia musiano odwołać z braku widzów. „Oczekujemy od publiczności naszej, że w święta popieszy tłumnie do teatru i tym sposobem choć w części wynagrodzi dyrekcji straty poniesione w ostatnich dniach” — apelował do łódzian felietonista

„Dziennika Łódzkiego” Lucjan Kościelecki.

Na nadchodzącą „gwiazdkę” dwie największe księgarnie łódzkie L. Fiszer (Piotrkowska 11) i R. Szatkego (Piotrkowska 47) przygotowały spory wybór książek. „Strawy duchowej w bród, dla dzieci, dla młodzieży i dorosłych” — informował „Dziennik Łódzki”. — „Tytuły większej części wydań ozdobnych znane są z zesłorocznego przeglądu przedświątecznych wystaw księgarskich. „Stara baśń”, „Pamiętniki kwatera”, „Słowacki, Szekspir — wszystko to w bogatej oprawie, troskliwie opakowane i przechowane, oczekuje nabycia od zesłorocznego roku”. Z nowych wydań ozdobnych księgarń Szatkego oferowała 6 tomów „Potopu” i 4 tomy „Ogniem i mieczem” H. Sienkiewicza, dzieła Odyńca i Fredry. Te same nowości posadzała też księgarnia Fiszera. Według zdania księgarzy największe powodzenie miała literatura dla dzieci.

W administracji „Dziennika Łódzkiego” była do nabycia wydana nakładem tego pisma, powieść E. Orzeszkowej „Niziny”, ozdobiona ilustracjami M. Andriollego. Cena tylko 1 rb. Tuż przed wigilią spadł w Łodzi obfity śnieg i chwylił mróz, lecz nie bardzo ostry. Na mieście pojawiły się licznie sanie dorożarskie, pobrzękujące mosiężnymi dzwonkami. Piotrkowska zmieniła się na tor wyścigowy dla amatorów sanicy.

W przeddzień świąt działające w Łodzi instytucje dobroczynności publicznej zorganizowały dla swoich podopiecznych w sali Sellina i w Paradyzie imprezy gwiazdkowe, w czasie których obdarowano najbardziej uboższych mieszkańców odzieżą, obuwiem i produktami żywnościowymi. W tym samym dniu wielu fabrykantów urządziło „choinkę” dla dzieci swoich robotników. Najbardziej okazałe wypadła uroczystość choinkowa w zakładach scheiblerowskich. W sali reursy fabrycznej na Księżym Młynie, pięknie przystrójonej i rzeźbiście oświetlonej jarzaczym światłem choinek, rozdano podarki gwiazdkowe dzieciom robotniczym. W uroczystości tej wzięły udział rodziny Scheiblerów i Herbistów, urzędnicy fabryczni oraz wiele osób z miasta. W zimowej scenach podąжали mieszkańcy Łodzi na „pasterkę”. Uroczyste nabożeństwo w pierwszy dzień świąt zgromadziło w niezapelnie jeszcze wykończonym kościele świętokrzyskim tak liczne rzesze wiernych, że część ludzi musiała pozostać na zewnątrz świątyni.

Sprawozdawca „Dziennika”, relacjonujący przebieg uroczystości kościelnych, nie omieszkał zwrócić uwagę czytelników na skandaliczne zachowanie się niektórych osobników, zebra-

nych przed kościołem. „Zebraćtwo obojga pici, usadowione po obu stronach bramy, wrzeszczy niby na jarmarku, pociąga kobiety za suknie, obrywa nieraz fałbany. Paciery i kłótnie słychać na przemiany, a cała ta scena trwa do godziny jedenaściej, dopóki parafianie nie zbiórą się w kościele. Cóż dalej robi ta halabstra? Sądzicie może, iż odmawia zamówione paciery? Właśnie idzie się modlić, ale do szynku obok kościoła”.

Święta minęły spokojnie i w wesołym nastroju. Dzięki pogodzie na mieście panował niebyswały ruch pieszych i pojazdów. Sporo łódzian używało sanicy. Wieczorem wszystkie widowiska i sale tańca zapelnione były przez ludzi żądnych rozrywki i zabawy. Dla amatorów łyżwiarstwa wybora służawkę urządził cykliski na placu poza ogrodem Stowarzyszenia Majstrów Tkackich, na wprost kościoła św. Krzyża. Zabawy na lodzie z towarzyszeniem muzyki wojskowej trwały do późnych godzin wieczornych. Nie zawiodła również publiczność teatralna. Ku pełnemu zadowoleniu dyrektora Puchniewskiego sala „Victorii” na przedstawieniach świątecznych była literalnie przepelniona widzami. Apel Kościeleckiego do łódzian o częstsze odwiedzanie teatru nie przeszedł bez echa. W pierwsze święto wystawiono w teatrze „Dzwony kornewilskie”, a następnego dnia — „Barona cygańskiego”. Obie operki szły gładko, z werwą właściwą — było widoczne, iż sala przepelniona korzystnie podziałała na humor artystów — pisał o przedstawieniach recenzent teatralny. W „Baronie cygańskiej” rolę Safii grała żona dyrektora teatru, Stefania Puchniewska, wywiązując się z niej ku ogólnemu zadowoleniu publiczności. Nieco trudniejsze zadanie miała Karolina Felńska, odtwarzająca postać starej Cyganki Czipri, zważywszy, że wspomniana aktorka miała zaledwie 22 lata.

Recenzent „Dziennika”, dając pochlebna ocenę świątecznych przedstawień w „Victorii”, nie omieszkał wszakże uczynić parę uwag pod adresem chóru damskiego. Jego zdaniem, chór ten należało wzmocnić, jak również przestrzegać, aby wszystkie chórzystki działały do końca przedstawienia na scenie, a nie wymykały się do łóż. W jakim celu to czyniły, możemy się tylko domyślać.

A więc, jako się już rzekło, święta Bożego Narodzenia upłynęły w Łodzi spokojnie. Tak by wynikało z raportów policyjnych. Można przyjąć, że były one rzetelne, mając na uwadze, że — o dziwo! — po raz pierwszy od dłuższego już czasu reporterzy miejscowych gazet nie zanotowali na terenie miasta żadnego rozboju, ani też poważniejszej bójkki.

## POWIĘKSZENIA

REKLAMA FILMOWA

Tygodnik „Ekran” reklamuje: „Kupuj w Pewexie — zyskasz, nie stracisz”. I dalej — „Lukusowe kosmetyki renomowanych firm zagranicznych miłym upominkiem gwiazdkowym dla każdego”.

Zeby jednak reklama trafiała naprawdę do każdego, „Ekran” na tej samej stronie poleca również odkurzacz „Czajka” za 1300 złotych. „Czajki” można także kupić na raty.

W ogóle w „Ekran” dział reklamy jest bardzo rozbudowany. W tym samym numerze reklamuje się także parę polskich filmów.

LOGIKA TRAMWAJOWA

Z „Dziennika Popularnego” dowiedzieliśmy się, że mandaty za jazdę bez biletu środkami komunikacji miejskiej podwyższone zostały do wysokości 300 zł. Bardzo dobrze, my też nie lubimy gapowiczów.

Niedobrze natomiast, że przy okazji gazeta próbuje usprawiedliwić decyzję MPK rachunkiem ekonomicznym. Czytamy, że wyższe mandaty „pryczynią się do zmniejszenia deficytu łódzkiego MPK”.

Deficyt MPK wynosi pół milarda złotych rocznie. Pół milarda to jest pięćset milionów. Obecnie „dochód” z mandatów wynosi około czterech milionów złotych. Pięćset do czterech tak się ma do siebie jak pięć do nosa. Przy wyższych mandatach „dochód” MPK z tego tytułu może wzrosnąć do jakichś dziesięciu milionów zł. Ale pięćset do dziesięciu też się tak ma do siebie jak pięć do nosa.

O jakim zmniejszeniu deficytu można w ogóle mówić przy takich proporcjach?

Jeszcze ciekawiej pisze na ten temat nasz ulubiony redaktor S. z „Expressu Ilustrowanego”. Oto, co pisze osobliwy rzecznik opinii publicznej: „Dał się zauważyć spadek liczby osób podróżujących tramwajami (przy większej liczbie pasażerów w autobusach). I teraz, uwaga — „Taki układ frekwencji jest wiecej niekorzystny dla MPK”.

Dobre sobie! A dla pasażerów? Kto tu jest dla kogo? Być może według red. S. najkorzystniejszy dla MPK układ frekwencji byłby taki, że autobusy stałyby w zajezdniach, a ludzie chodzili pieszo!

Jak w ogóle można uprawiać taką tramwajową logikę?

Wyższe mandaty? Zgoda, ale po co przy tej okazji robić czytelnikom wodę z mózgu?

OPAKOWANIE

Łódzkie księgarnie otrzymały niedawno nowy, oryginalny papier do pakowania książek. Jedna strona arkusza jest w kolorze mniej więcej amarantowym, druga zaś...

Otóż to! Druga ma wydrukowany tekst. Nie jest to wszakże banalne haselko w rodzaju: „Książka najmilszym upominkiem”.

Tekst ów brzmi (cytuje dosłownie): „Wino. Zaw. alkoh. 12—14 proc., zaw. SO<sub>2</sub> do 200 mg, 0,75 l. Tar-nów, Podhalańskie Zakłady Przemysłu Owocowo-Warzywnego, cena 36 zł”.

Czekamy teraz na wino z etykietą głoszącą: „Książka twój przyjaciel, alkohol twój wróg — lej wroga w mordę”.



Fot. Archiwum

10840 - A

